

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 988·— Marek, Półrocznie 1976·— Mk. Rocznie 3952·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.
Zmiana adresu 1 Markę.
Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. — Zamiejscowe o 50%, zagraniczne o 100% drożej.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 472.
Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódz. Piotrkowska 81.
Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 80 Marek.
Rok XVIII. Kraków, 26 listopada 1921. Nr. 48.

Wykrycie tajnego arsenału niemieckiego



W fabryce metalurgicznej w okolicy Drezna znajduje Komisya międzysojusznicza stopięćdziesiąt gotowych luf do haubic polowych.

Wykrycie tajnego arsenału niemieckiego.

(Do illustracyi tytułowej).

Ogólne rozbrojenie Niemiec, tak na lądzie, jak i na wodzie i w powietrzu, jeden z głównych warunków traktatu wersalskiego, przeprowadzane jest planowo i systematycznie pod dozorem koalicyjnej komisyi. Setki tysięcy kilogramów starego żelaziwa, które miało zapewnić Niemcom panowanie nad światem, uległo już przeróbce na cele przemysłowe, praca w tym kierunku trwa w dalszym ciągu, ale ani rusz nie można wpaść na ślad najważniejszych przedmiotów, jak naprzykład na osławione „grube Berty", które przepadły gdzieś, niczem kamień we wodzie. I nic w tem dziwnego, że w całym świecie utrzymują się pogłoski o tajnych magazynach broni, rozrzuconych po całych Niemczech, a kryjących przed ciekawem okiem komisyi międzysojuszniczej wszystko to, co potrzebne do podjęcia akcyi odwetowej, której Germania bynajmniej się nie wyrzekła. W związku z tem mają stać wybuchy w różnych fabrykach niemieckich, zajmujących się wyrobem niewinnych artykułów codziennej potrzeby, gdzie jednak dokonuje się, jak utrzymują niektórzy, także i prób z nowymi środkami wybuchowymi, z gospodarstwem domowem nic wspólnego nie mającymi. Są to oczywiście tylko pogłoski, dowodami dotąd nie poparte, ale, wiadomo, że każda pogłoska kryje na swem dnie nieco prawdy.

Inna rzecz z magazynami gotowej broni, czekającej w ukryciu na sposobną chwilę, by dopomódz do ziszczenia się ideałów, pielęgnowanych troskliwie w sercu każdego Niemca. Wiadomości o nich nie są legendami, podawanemi z ust do ust, istnienie ich stwierdzono już niejednokrotnie, komisye międzysojusznicze śledzą pilnie za nimi, a niejeden tajny arsenał, i to nawet bardzo obficie zaopatrzony, wpadł już w ich ręce. Przy każdem takiem „odkryciu" twierdzą z zasady interesowani, że nic o znajdującym się w ich bezpośredniem sąsiedztwie magazynie nie wiedzieli, co im jednak bynajmniej nie przeszkadza, dzieło zbrojenia się prowadzić dalej w innem, lecz już bezpieczniejszem miejscu.

W ubiegłym tygodniu doniosły telegramy, że członkowie międzysojuszniczej komisyi dla rozbrojenia Niemiec, zwiedzając pewną fabrykę metalurgiczną w okolicy Drezna, powzięli podejrzenie, oparte widocznie na jakichś danych, że kryje się tam tajny arsenał. Po zbadaniu dokładnem ubikacyi fabrycznych zażądała komisya zrobienia otworu w pewnej ścianie, by się módz przekonać, co się za nią kryje. Gdy personal fabryczny żądaniu temu wręcz odmówił, co naprowadzić musiało tembardziej na domysł, że sprawa nie musi być zbyt czystą, przystąpiono do zburzenia ściany przez żołnierzy koalicyjnych i, ku niezmiernemu zdziwieniu członków komisyi, znaleziono za nią sto pięćdziesiąt zupełnie gotowych do użytku luf do haubic polowych. Na zapytanie, skąd się one tam wzięły, odpowiedziała dyrekcya fabryki, że odlano je na zamówienie rządu niemieckiego bezpośrednio przed ukończeniem wojny, nie umiała przecież wytłómaczyć, dlaczego je zamurowano, a materyału nie użyto na inne cele przemysłowe.



Jubileusz Przybyszewskiego: Stanisław Przybyszewski jeden z głównych filarów „Młodej Polski".

Jubileusz Przybyszewskiego.

Trzydziestolecie twórczości literackiej Stanisława Przybyszewskiego — obchodzone we Lwowie w ostatnich dniach października z inicyatywy komitetu ... rownictwa teatrów i przyjaciół i zwolenników autora, nie odbiło się takiem echem na jakie sobie Jubilat bądź co bądź zasłużył. Ale przecież Przybyszewski to jeden z najważniejszych filarów „Młodej Polski", tego nowego kierunku w naszej literaturze, którego wielu zrozumieć nie chciało, a wielu nie mogło. Między autorami polskimi ostatniej doby zajmuje Przybyszewski bardzo wybitne stanowisko, na różne jego poglądy można się nie zgadzać, ale musi się mu przyznać, że życie swe całe poświęcił twórczej pracy literackiej i na tem polu zdziałał wiele. Jakim był przed trzydziestu laty, rozpoczynając piękny, ale niewdzięczny zawód, takim pozostał do dziś. Skromny do ostatecznych granic, od społeczeństwa nie żądający niczego, w pracy literackiej widział dla siebie całą nagrodę i wewnętrzne zadowolenie. Naśladowców miał wielu, większość ich jednak nie dorosła swojego mistrza, szkodząc raczej ideom, którym służyć pragnęli.



Dwudziestopięciolecie krakowskiej Akademii Handlowej: Gmach Akademii, wzniesiony przez gminę miasta Krakowa u zbiegu ulic Straszewskiego i Kapucyńskiej.

Wieczór 29 października był dla świata literacko-artystycznego momentem bardzo rzadkiej uroczystości. Z inicyatywy teatru miasto Lwów święciło jubileusz 30 letniej pracy twórczej Stanisława Przybyszewskiego. — W teatrze Wielkim dawano „Śnieg". Przed podniesieniem kurtyny p. Jakób Geschwind odczytał bardzo zajmujący, pełen trafnych sądów szkic o Przybyszewskim, któremu Jubilat przysłuchiwał się z loży, ubranej bogato kwiatami.

Po pierwszym akcie odezwały się tony orkiestry i na odsłoniętą scenę wszedł Stanisław Przybyszewski, prowadzony przez dyrektora teatru. Scena zalana była kwiatami i wieńcami, które wnoszono i składano u stóp Jubilata. Dyrektor Czarnowski odczytał list gratulacyjny, nadesłany od p. wiceprezydenta Chlamtacza, jako przewodniczącego Komisyi teatralnej. Imieniem Związku artystów scen polskich przemówił p. Okoński i złożył Jubilatowi wieniec. Słabym, miękkim krokiem zbliżył się do rampy Stanisław Przybyszewski. Publiczność, która powstała, aby go owacyjnie powitać, zatrzymała oddech w piersiach. Nad uciszoną salą popłynęły ciche, przerywane wzruszeniem słowa: „Jest to dzień, w którym ogarnia mnie tak głęboki wstyd, jak nigdy w życiu... Czuję, że nie zasłużyłem... Nie zasłużyłem... Zostanie po mnie jakie dziesięć stronic, nic więcej — dziesięć stronic... Ale wasze dobre serce i ta wasza życzliwość i to... Nie mogę więcej... Bóg zapłać! Bóg zapłać!"

To wzruszenie wielkiego twórcy, który, jako człowiek, był zawsze skromnym nad wszelką miarę, było czemś niesłychanie pięknem. Przybyszewski w głębi loży, ozdobionej kwiatami, wysłuchał do końca swego dramatu „Śnieg".

Po przedstawieniu w teatrze miejskim odbyło się skromne przyjęcie w sali hotelu Krakowskiego. Na przyjęcie to przybyli naczelni redaktorzy pism, referenci teatralni, literaci, poeci, dyr. Czarnowski wraz z małżonką i jeneralnym sekretarzem red. Schröderem, prof. Geschwind z małżonką i artyści, którzy brali udział w przedstawieniu „Śnieg". Podczas kolacyi przemawiali prezes Tow. dziennikarzy polskich red. Laskownicki, prezes Związku zawodowego Literatów polskich Jedlicz, jen. sekretarz Schröder, dyr. szkoły dramatycznej p. Frączkowski, artysta-rzeźbiarz Z. Kuczyński. Poeta H. Zbierzchowski odczytał swój wiersz, napisany na cześć Przybyszewskiego. Kilkakrotnie w krótkich, serdecznych, pięknych słowach dziękował Przybyszewski, podkreślając, że wzruszony jest, iż właśnie Lwów pierwszy urządza jego jubileusz. Wśród bardzo miłego nastroju zebranie przeciągnęło się po północy.



Dwudziestopięciolecie krakowskiej Akademii Handlowej: Obecny dyrektor Akademii, Józef Kannenberg, wielce zasłużony około jej rozwoju.

Zarząd zawodowego Związku Literatów polskich we Lwowie na posiedzeniu swem w dniu 28 października, uchwalił, celem uczczenia zasług Przybyszewskiego dla polskiego piśmiennictwa, przedłożyć najbliższemu walnemu zgromadzeniu wniosek o zamianowanie Jubilata członkiem honorowym Związku.

Dwudziestopięciolecie

Krakowskiej Akademii Handlowej.

Ćwierć wieku mija od chwili, gdy grono ludzi dobrej woli dołożyło starań, aby istniejącą w Krakowie od r. 1882 niższą trzechklasową Szkołę Handlową przeistoczyć na wyższą, o programie nauk odpowiadającym tego rodzaju zakładom zagranicznym. Wysiłki ich napotykały na różne trudności, społeczeństwo ówczesne nie doceniało należycie znaczenia szkół podobnego typu. A jednak pokazało się i to już w niedługim czasie, jak potrzebną była dla Krakowa szkoła mająca dać wyższe wykształcenie teoretyczne osobnikom, pragnącym się poświęcić zawodowi handlowemu. Świadczy o tem wzrastająca z roku na rok frekwencya, wykazująca w r. 1896 zaledwie stu uczniów w szkole tak wyższej jak i niższej, gdy natomiast w bieżącym roku akademickim przekracza liczbę tysiąc siedmset.

W miarę wzrostu liczby uczniów trzeba było pomyśleć i o wyszukaniu odpowiedniego dla szkoły lokalu, dotychczasowy bowiem, w dawnym budynku Miejskiej Kasy Oszczędności u zbiegu ulic Siennej i św. Krzyża, okazał się za szczupły. Szkoła, pozostająca pod zarządem Kuratoryi, w skład której wchodzili przedstawiciele Wydziału Krajowego, gminy, Izby Handlowej i Kongregacyi Kupców, utrzymująca się z subwencyi i opłat uczniów, na cel powyższy nie posiadała funduszów, zabiegi czynione



Ustąpienie wiceministra Dąbskiego: Podsekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, Jan Dąbski, twórca traktatu pokojowego w Rydze.

u rządu, nie odniosły żadnego skutku. Mimo te trudności, Szkoła Handlowa rozwijała się z każdym rokiem coraz lepiej, w roku 1901. udało się zyskać dla niej prawo publiczności, gmina miasta Krakowa zobowiązała się zaś do zbudowania dla niej odpowiedniego pomieszczenia, co zawdzięczać należy głównie staraniom ówczesnego prezydenta, śp. dra Lea. W roku 1906. Wyższa Szkoła Handlowa, której program nauk odpowiadał już zagranicznym akademiom, przeniosła się do nowego, własnego gmachu. W r. 1908. otrzymała szkoła tytuł Akademii Handlowej, w sześć lat później rozpoczęło się częściowe jej upaństwowienie, przerwane wypadkami wojennymi.

Pierwszym dyrektorem Wyższej Szkoły Handlowej był śp. Franciszek Kroebl, grono nauczycielskie składało się zaś z dziewięciu osób. Następnie objął kierownictwo zakładu na krótki czas dr. Ernest Bandrowski, obecnie spoczywa ono w energicznych rękach dyrektora Józefa Kannenberga, liczba członków grona przekracza czterdziestkę.

Z małych początków, po zwalczeniu wielkich trudności powstał zatem w Krakowie zakład naukowy, o znaczeniu pierwszorzędnem dla naszego społeczeństwa, przedewszystkiem zaś dla sfer handlowych, które zrozumiały, jaką korzyść przynosi teoretyczna wiedza obok zawodowego wykształcenia. Krakowska Akademia Handlowa w dzisiejszym swym stanie może śmiało iść o lepsze z tego rodzaju zakładami zagranicznymi, rozporządzając odpowiednio dobranom gronem nauczycielskiem, obfitym materyałem naukowym i należytem pomieszczeniem. Oprócz czterech lat właściwej Akademii i szkół dwuklasowych, oraz kursu abituryentów, w których kształci się zarówno młodzież męska, jak i żeńska, prowadzi się stale cały szereg kursów, oddający h naszemu życiu ekonomicznemu niespożyte wprost usługi. Jak kierownictwo i nauczyciele Akademii pojmują swe zadania wychowawcze i jak starają się o młodzież swej pieczy powierzoną, o tem przekonać może każdego rozdział ze sprawozdania Akademii Handlowej za r. 1921 p. t. „Fizyczne i moralne wychowanie młodzieży“, pióra prof. A. Balickiego. Należałoby sobie życzyć, aby każdy z naszych zakładów naukowych, zwłaszcza wyższych, mógł się poszczycić podobnymi wynikami swej pracy i harmonią między uczącymi a nauczanymi.

Uroczystości jubileuszowe odbędą się w sobotę, dnia 26 listopada b. r.

Ustąpienie wicemin. Dąbskiego.

Obsadzanie foteli ministeryalnych według tak zwanego „klucza partyjnego“ miało za sobą oprócz innych następstw, także i to, że przy ważniejszych ministerstwach powstały zupełnie niepotrzebnie stanowiska podsekretarzy stanu, czyli wiceministrów, na wzór dawnych rosyjskich „pomocników ministra“. W niektórych było ich po kilku, a stanowiska te tworzono nie dla koniecznej potrzeby, lecz dla zaspokojenia ambicyi poszczególnych stronnictw, pragnących mieć swego męża zaufania w najważniejszych działach naszej administracyi państwowej. Toku urzędowania w poszczególnych ministerstwach system ten bynajmniej nie ułatwiał, owszem, wprowadzał jeszcze większy chaos, a ponadto obciążał niezmiernie nasz budżet.

Jednym z podsekretarzy stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych był poseł Jan Dąbski, z Polskiego Stronnictwa Ludowego. Nazwisko jego stało się głośnem, jako twórcy traktatu pokojowego z Rosyą sowiecką, zawartego w Rydze, przy czem p. Dąbski oddał krajowi bezsprzecznie wielkie usługi, ale nie należy zapominać i o tem, że do powodzenia jego przyczyniło się fiasko ofenzywy bolszewickiej, które zmusiło rząd sowiecki do ograniczenia swych wygórowanych żądań, przygotowanych w tej myśli, że podyktuje się je Polsce pobitej, a nie zwycięzkiej. Początek rokowań pokojowych w Mińsku, gdy czerwona armia parła na Polskę, przed-



Nowy poseł Ziemi Krakowskiej: Redaktor naczelny „Illustrowanego Kuryera Codziennego“, Maryan Dąbrowski.

stawiał się też zupełnie inaczej, niż dalszy ciąg i zakończenie w Rydze, po odwrocie niedobitków z nad Wisły.

I gdyby na tem zamknął był p. Dąbski swą dy-



Entuzyastyczne przyjęcie marszałka Focha w Ameryce: Powitanie marszałka Focha na schodach, wiodących do Ratusza, przez prezydenta miasta Nowego Jorku.

plomatyczną działalność, miałby zupełne prawo do zaliczenia w poczet naszych najtęższych mężów stanu. Stało się jednak inaczej. Niemniej głośna sprawa układu, zawartego przez p. Dąbskiego imieniem polskiego Rządu z przedstawicielem sowieckiej Rosyi, Karachanem, o wydalenie z granic naszego kraju szeregu osób uważanych przez Bolszewię za niebezpiecznych dla niej, rozwiała tę aureolę, jaka otaczała dotąd osobę naszego podsekretarza stanu dla spraw zagranicznych. Podpisując układ, zgodził się p. Dąbski w myśl żądań Karachana na wydalenie z granic Polski między innymi także i jenerała Bułak-Bałachowicza, obywatela polskiego, który oczywiście, występując w obronie swych praw, bardzo stanowczo przeciw temu zaprotestował.

Fakt ten wywołał łatwo zrozumiałe poruszenie nawet w sferach z szerszą polityką nic wspólnego nie mających, zwłaszcza, że zbyt daleko posunięta ustępliwość i uprzejmość wobec rządu sowieckiego dziwnie odbijała od stanowiska, jakie on zajmował stale i zajmuje w odnoszeniu się do naszych przedstawicielstw, narażonych w Rosyi na różne szykany niepewnych nawet swego życia. Karachan posunął się zadaleko, chcąc rządzić się w Polsce, jak u siebie w kraju, a polski podsekretarz stanu szedł mu w tem na rękę, godząc się bez zastrzeżeń, a nawet i bez dokładniejszego zbadania sprawy, na jego żądanie.

Burza, jaką to zajście spowodowało, skończyła się koniecznością ustąpienia p. Dąbskiego z zajmowanego dotąd stanowiska, choć klub jego był zdania, że staje się on kozłem ofiarnym, odnośną ugodę podpisał bowiem za wiedzą ministra Skirmunta, prezydyum gabinetu i sejmowej Komisyi spraw zagranicznych. W razie jego dymisyi, powinien ją zatem otrzymać także i minister Skirmunt.

Tak się jednak nie stało. Ustąpił jedynie p. Dąbski, pożegnany uroczyście wobec wyższych urzędników Ministerstwa przez ministra Skirmunta. Dymisya p. Dąbskiego była na rękę planowi oszczędnościowemu ministra Michalskiego, dążącego do skasowania stanowisk podsekretarzy stanu, jako zupełnie zbytecznych.

Nowy poseł Ziemi Krakowskiej

Dni naszego Sejmu Ustawodawczego są już wprawdzie policzone i stoimy w przededniu wyborów do właściwego Sejmu, na podstawie nowej ordynacyi wyborczej, nie wyklucza to jednak zmian, jakie w gronie posłów zajść jeszcze mogą aż do ostatniej chwili. Dotyczy to mianowicie obejmowania mandatów po posłach, którzy z zajmowanego stanowiska ustąpili z powodu śmierci lub rezygnacyi. Na podstawie postanowień ordynacyi wyborczej w miejsce ustępującego wchodzi do Sejmu najbliższy kandydat, znajdujący się na odnośnej liście, z której wybrany został ustępujący.



Z żałobnej kroniki: Sp. Klaudyusz Dębicki, em. radca kolejowy, b. członek Rady miejskiej krakowskiej i prezes „Straży Polskiej".

Podczas wyborów styczniowych r. 1919. z tak zwanej listy kompromisowej, oznaczonej liczbą porządkową „pięć", weszli do Sejmu Ustawodawczego z okręgu krakowskiego pp: dr. Bardel, dr. Stanisław Grabski i prezydent Jan Kanty Federowicz. Obecnie z powodu rezygnacyi dra Bardla, który z nieznanych dla szerszego ogółu powodów, o których jednak różni różnie mówią, złożył mandat poselski, powołany został w skład Sejmu najbliższy po wybranych kandydat, redaktor naczelny *Ilustrowanego Kuryera Codziennego*, p. Maryan Dąbrowski.

Nowy poseł Ziemi Krakowskiej zajął już swe miejsce w warszawskim Sejmie Ustawodawczym, przynależności swej partyjnej dotąd jednak nie zgłosił, ale przy załatwieniu sprawy wileńskiej głosował za przedłożeniem rządowem, za którem oświadczyło się między innymi i Polskie Stronnictwo Ludowe. Kombinacye, jakie na temat wstąpienia redaktora Dąbrowskiego w skład Sejmu wysnuwają rzekomo wtajemniczeni, nie wykluczają, że oświadczyć się może za programem tegoż stronnictwa, spodziewając się jego poparcia przy najbliższych wyborach.

Znana ogólnie energia i rzutkość nowego posła, a zarazem stanowisko, jakie wobec dotychczasowych posłów krakowskich, zwłaszcza, zaś z piątej listy, stale zajmował, dając mu w swem piśmie zupełnie niedwuznaczny wyraz, każą się spodziewać, że redaktor Dąbrowski skorzysta skwapliwie z krótkiego okresu swego posłowania i zajmie się gorliwie sprawami, obchodzącemi przedewszystkiem jego wyborców, by naprawić te zaniedbania, jakie wyniknęły z powodu, iż główną uwagę poświęcili oni szerszej polityce, o swój okręg wyborczy niezbyt się troszcząc. Dowodem tego, choćby ten drobny fakt, że niektórzy z naszych wybrańców nie uważali dotąd za stosowne zjawić się przed tymi, którzy ich swem zaufaniem obdarzyli, aby złożyć sprawozdanie ze swej dotychczasowej działalności i zapoznać się z żądaniami i potrzebami swych wyborców. Jako dobry znawca miejscowych stosunków i wszystkiego tego, co dolega mieszkańcom jego okręgu wyborczego, stać się powinien poseł Dąbrowski gorliwym poplecznikiem słusznych ich interesów.

Entuzyastyczne przyjęcie marszałka Focha w Ameryce.

Z okazyi odbywającej się w Waszyngtonie konferencyi międzynarodowej w sprawie rozbrojeń przybyli do Stanów Zjednoczonych przedstawiciele najważniejszych mocarstw świata, aby wziąć udział w obradach.

Różne delegacye przyjmowano z rozmaitymi objawami sympatyi lub grzeczności, żadna jednak nie spotkała się z tak entuzyastycznem wprost powitaniem, jak francuska, której członkom, tak wszystkim razem, jak i każdemu z osobna, urządzano owacye jedną po drugiej. Już na inauguracyjnem posiedzeniu wyróżnił prezydent Harding przewodniczącego delegacyi francuskiej, Brianda, który pozatem na każdym kroku spotykał się z dowodami sympatyi amerykańskiego społeczeństwa, chyba nie kłamanymi, gdyż Ameryka, sentymentem zbyt się nie kierująca, w przyjaźni z Francyą interesu nie szuka, bo go nie potrzebuje. Chce jednak widocznie dać dowód swej europejskiej siostrzycy, że szczerze z nią sympatyzuje i że ona może liczyć w danej chwili na





Entuzyastyczne przyjęcie marszałka Focha w Ameryce: 1) Ratusz w Nowym Jorku ozdobiony z okazyi przybycia marszałka Focha sztandarami o barwach narodowych amerykańskich i francuskich. 2) Publiczność wita owacyjnie marszałka Focha przejeżdżającego ulicami Nowego Jorku, obrzucając go mnóstwem *confetti* i *coriandoli*.

JÓZEF LASOŃ.

Spalenie sztandarów

JWP. Jenerałowi Wł. Sikorskiemu poświęcam.

Jesienny mrok wieczorny szybko zapadał. Słońce ukrywszy się w widnokręgu, wyrzuciło promienie, podobne będąc do wulkanu, ogień z łona ziemi ziejącego. Promienie ginęły w chmurach, włóczących się po widnokręgu, niby zagony kozacze na rubieżach dawnej Rzeczypospolitej, kiedy to kozak był panem stepu, wicher zaś jedynym administratorem niezamieszkałych obszarów; co on wicher zasiał, kozak skosił, stratował, spalił dla fantazji, czasem dla potrzeby. Rzekłbym — za kozakiem pędził wicher, z wichrem kozak. Ho! Ho! Dawne to były czasy, gdy Chmielnicki czaszkami Turków trakty na stepach kładł, gdy nieubłagany Jerema na Zbaraż ruszał, aleje z szubienic zdrajców i rabusiów sadził.

Dawne to czasy, gdy żołnierz Legionu pod Dąbrowskim szedł, pod Napoleonem Europę krokami mierzył i na bagnecie nosił. Dawne to czasy, gdy Napoleon z pod Moskwy uchodził, gdy palono sztandary zwycięskie, a z nimi jedni nadzieje ojczyźniane, drudzy ideje żołnierza polskiego.

Kotarba, wpatrzony w ginące promienie słońca, rozmyśla o przeszłości, ściga ją z wichrem i kozakiem w zawody. Z poddasza wygląda przez okienko oszklone po części przeźroczystym papierem, częściowo zaś szkłem, spogląda królewskiem okiem po kominach dachów i fabryk. Kręcą się dymy kominów, rozpływają w powietrzu, gnane wiatrem, kołysane lekko, lub nagłym, obłędnym wirem porwane rozpływają się w powietrzu.

Mały pokoik na poddaszu zajmuje Kotarba i jego przyjaciel Kański. Dwa łóżka żołnierskie, stół z brakującą jedną nogą, krzesło, oraz coś na podobieństwo fotelu, przykryte kawałkiem ceraty, stanowi zasadnicze ich umeblowanie. Miednica skryta pod łóżkiem, wyciągana jest tylko na czas potrzeby. Dwie walizki podróżne, przez czas mocno nadwerężone, służą do zebrań towarzyskich jako specyalne kanapki; kilka obrazów drukowanych, porozwieszanych na ścianie, stanowi prawie, że komplet umeblowania. Dla kompletu należy jeszcze stara obsługaczka Ludwika, która jest dzierżawiona razem z mieszkaniem, względnie wynajęcie tegoż mieszkania związane było z wynajęciem starej Ludwiki za obsługaczkę.

Wieku jej nikt nie potrafił ocenić ani określić. Twierdziła, że pamięta „Napoliona“, „bunty panów“, ale raczej to wszystko było przejęte w legendarny sposób i zużyte w siebie, niźli tak prawdziwe, jak stara Ludwika przedstawiała.

Przyniosła czajnik z herbatą, postawiła na stole, poczem zabrała się do zapalenia lampy.

Kotarba przysiadł się do stołu, a po wypiciu herbaty zdjął bluzę żołnierską, odpiął przyczepione medale i odznaki, zawieszając je nad łóżkiem obok fotografii starszej damy, zapewne matki.

— Pani Ludwisiowa! — zwrócił się do starej kobiety — proszę się wystarać dla mnie o nożyczki, igły i trochę nici!

— Czego?

Kotarba objaśnił ją powtórnie, sądząc, że wykład ponowny będzie wystarczający. Ludwisiowa jednakże w dalszym ciągu nadstawiała słyszące lewe ucho i spytała:

— Do czego?

Do munduru! — krzyknął jej nad uchem, potrząsając zdjętą bluzką.

Za chwilę Ludwisiowa przyniosła żądane przedmioty, podreptała kilkakrotnie dokoła stołu, jak ćma koło lampy, wreszcie w milczeniu usiadła na jednej z walizek, z wzrokiem utkwionym w Kotarbę.

Eksporucznik wojsk polskich podchwycił mundur w dłonie, długo i badawczo począł mu się przyglądać. Srebrne gwiazdki błyszczały na epoletach; na kołnierzu wężyk oficerski zakręcał się, ślizgał po niebiesko-żółtych wypustkach piechoty. Pochylony nad mundurem, nie zauważył, że z oczów upadła duża, przejrzysta łza z powieki i osiadła pośrodku dwu srebrnych gwiazdek, kapitański porządek tworząc. Dojrzał ją, zmiętosił rękawem koszuli, wytarł jak krwistą plamę, brudzącą mundur i szybkim nagłym ruchem począł odpruwać epolety.

Ludwikowa, będąc na czatach, dostrzegła łzy, a widząc pracowicie wytężone ręce Kotarby nad pruciem szlif, stanęła przez chwilę znieruchomiała, poczem rozkrzyżowawszy ręce, głosem pełnym zgrozy, spytała:

— Co się to robi?

— Demobilizuje! — odparł eksporucznik głosem półwesołym, wycierając oczy, zażenowane mokremi powiekami.

Ale poczciwa Ludwisiowa słowa tego nie zrozumiała, kilkakrotnie przeto Kotarba zmuszony był rzecz dokładnie przedstawić.

— Z munduru tego — tłómaczy jej Kotarba — zrobi się piękne szaty cywilne i pójdzie się w świat szukać pracy i pracować.

— Pracować! — dziwi się Ludwisiowa. — Rodzice nie żyją, pan, rzemiosła żadnego nie umie, a na szkoły niema pieniędzy.

Ludwisiowa sytuację Kotarby jak i wszystkich swoich pracodawców dobrze zna. Nie byłaby kobietą, żeby tych historji nie umiała odkryć, wiedzieć komu się służy i jaki ten „ktoś“ jest z rodziny i stanowiska.

— Widzicie — mówi Kotarba — w życiu zawsze trzeba zaczynać od szeregowca. Skończyła się wojna, trzeba szlify odłożyć, w szeregowe życie społeczeństwa wstąpić. Żołnierz nie powinien się bać przyszłego losu. Boicie się wy, Ludwikowa jutrzejszego dnia, kiedy wiecie, że jesteście zdrowa, macie chęć do pracy i ludzi, co wam pracę dadzą? Życie całe polega na tem, żeby z pożytkiem żyć i pracować. A przecie wszystko jedno gdzie się pracuje, byleby mieć zadowolenie, kęs chleba i kąt własny.

— Niby tak — potwierdza stara Ludwikowa — a co innego ja, prosta kobieta, a co innego tacy ludzie, jak pan. Ja pracuję tyle roków, że nie pamiętam odkąd. Gdybym jeden dzień wylegiwała się to zaraz będę chora. Ale co innego ja...

— Wszystko jedno! — odpowiada Kotarba.

Odprute szlify leżą na stole. Waży je w ręce i dziwi się, że takie ciężkie były, mimo, że ciężaru tego na kołnierzu nie znać było wcale. Owija je starannie w starą gazetę, dołącza do papierów, przeróżnych pochwał i rozkazów, starych legitymacyj żołnierskich, fotografij, składa to wszystko do pergaminowej, dużej koperty i z uśmiechem mówi do obserwującej go Ludwisiowej:

— Archiwum rodzinne gotowe!

— Niby co to jest? — wykrzywia wargi stara kobieta.

— Archiwum. Pamiątki rodzinne — tłómaczy jej do ucha — dla mojej rodziny lub familji, żeby wiedzieli, że biłem wroga pod Warszawą, byłem żołnierzem, mam medale i pochwały. To jest tyle, co pamiątka dla mojej familji po mojej śmierci.

— Rozumiem. Mam również takie pamiątki. Kawałek gromnicy, co mi matka przy niej skonała. Będzie i mnie lżej przy niej umierać. A żałuję, że nie mam familji nijakiej. Dałabym im po śmierci.

Wdział powrotnie bluzę ogołoconą z odznak żołnierskich, wyprężył piersi, sprezentował się przed Ludwisiową.

— No jakże tam wyglądam?

— He?

— Jak wyglądam w nowym mundurze?

Kobieta krzywi usta, kręci głową z niezadowolenia, mierzy Kotarbę od stóp do głów, wreszcie decyduje:

— Ani żołnierz, ani cywil. Po nijakiemu.

Kotarba z uśmiechem zdejmuje czapkę oficerską i kładzie na głowę:

— Wojak, aże miło. Ale po cywilnemu nie pięknie. Niech pan nosi mundur kiej jest pański.

— Nie pani Ludwisiowo. Nie można. Zaraz dokończymy cywilnego ekwipunku. — Usiłuje zerwać z czapki orzełka srebrnego i w tejże chwili łzy ciurkiem po policzkach płyną.

— Psiakrew! — klnie odwrócony plecami do Ludwisiowej. — A to szelma przyrósł. Wędruje ze mną od tysiąc dziewięćset czternastego roku, z legionami, z francuzami, piorun nie wie z kim i jeszcze się odczepić nie chce. — Szarpie gwałtownie, odrywa od żądeł przytrzymujących go do czapki.

Ludwisiowa także się odwraca i ukradkiem łzy suszy postrzępionym fartuchem; przyciska ten fartuch z taką tkliwością do twarzy i do ócz, z jaką przyciskałby prawdziwy żołnierz odbiwszy postrzępiony od kul sztandar pułkowy. Ach rozumie ona to wszystko, co się w sercu Kotarby dzieje, pamięta, gdy przed latami służyła u państwa, gdzie był dziaduś, co to z Napoleonem na wojny chodził. Co rano ubierał wytarty, pstrokaty jakiś mundur żołnierski, robił w domu paradę, wyciągał z kufra postrzępiony kawał szmaty i urządzał przed nim egzecyrki. A gdy się wszystko raz od ognia spaliło, to dziadusiowi serce pękło i umarł. Taki sam był hardy i przyznać się nie chciał, że te szmaty kocha. Lepiej, żeby pan Kotarba mundur sobie zachował i co rano na paradę wdziewał. Radzi mu po chwili z dobroduszną miną, opowiadając historję o dziadusiu napoleońskim i spalonym mundurze. Kotarba śmieje się do łez. Ludwisiowa dobrze wie, jakie są to te łzy i gdyby miała na tyle pieniędzy kupiłaby mu cywilny strój, żeby tylko ten piękny mundurek zachować, paradę codziennie robić i serce w spokoju zachować. Bo i dziadusiowi odrazu nie pękło. Pamięta, jak tygodniami się męczył, przesilał, aż wreszcie pewnej nocy nie obudził się weale. Mówili, że mu się mózg popsuł, ale ona jest święcie przekonana, że to serce natęskniwszy się do syta, pękło. Będzie i Kotarbę mordować tygodnie, miesiące, aż wreszcie....

Kotarba słysząc te wszystkie wywody poczciwej staruszki i śmieje się do łez. Twierdzi, że tak przyjemnego wieczoru nie pamięta już dawno. Niespodzianie nachyla się do rąk staruszki i całuje ją w rękę. Czyn ten, skwalifikowany następnie przez nią, za karygodny wypłoszył z oczów jej niezliczoną ilość łez, które na dnie serca tryskały, opływały dookoła serca i duszy nie mogąc znaleść naturalnego ujścia.

— W górę serca — mówi Kotarba. — Otom gotów! Jutro idę do Ciebie świecie, oddaję ci pracę i siły moje. Jutro idę do Ciebie narodzie po pracę, obroniwszy własną krwią i piersiami. Ręce moje silne wyciągam do Was bracia i dźwigać będziemy w pracy fundament trwałego gmachu, na polach przez nas zdobytych, na kurhanach przez nas usypanych. Mam w was wiarę i pewność. Staję w szeregu pracowitych rzesz, ja Rzeczypospolitej żołnierz i obywatel.

Ludwisiowa przytakiwała głową, udowadniając kiwaniem głowy, że rozumie uczoną mowę, że wierzy w słowa jakiejś nieznanej wiary płynące z ust młodzieńca.

Rzuciła parę, dobrych, prostych słów na pożegnanie i podrepsiła do suteryn, z pełnymi ustami nowin, w sercu rozklekotanem. — Zapewne — rozważa — tej nocy będzie mi się śnił dziaduś i szmaty napolińskie.

Kotarba usiadł przy stole i rozłożywszy arkusz papieru szkicować począł plany dnia jutrzejszego. Obliczył posiadaną gotówkę, zrobił z sumy podziałkę planową na ilość dni wystarczającą na utrzymanie i spisywać począł firmy i przedsiębiorstwa, w których mógłby uzyskać posadę.

Przy pracy tej zastał go współlokator podporucznik Kański, również zdemobilizowany, z chwilą przejścia armji w stan pokojowy. Wojna wyrwała go z objęć ławy szkolnej, wyrzuciła daleko od rodziny na bruk wielkiego miasta. Rodzice pogromem bolszewickim rozprószeni gdzieś w głębi Rosji. Majątek również zapewne przepadł.

Kański wszedł z rozmachem, z brzękiem ostróg, z tupetem żołnieskim. Szablę odpiął od rzemieni rzucił na łóżko i usiadł.

— Ale miałem wieczór. Powiadam ci boska dziewczyna. Podobno miljonerka. W każdym razie warta grzechu...

Podnosi wzrok na Kotarbę, spostrzega, że z munduru zdjęte są szlify i wypustki z wężykami srebrnymi, staje przeto zdziwiony obok i głosem pełnym wesołości mówi:

— Bój się Boga, cóżeś ty uczynił?

— Mundur cywilny. Jutro idę do pracy!

— Mundur cywilny, do pracy — śmieje się rubasznie Kański — coś podobnego. Wyglądasz na podejrzanego ekswojskowego w tym mundurze. Za nic coś podobnego nie uczyniłbym. Wolałbym całe życie chodzić w mundurze, ewentualnie rozumiem cywilne ubranie według najnowszej mody, ale nie takie zdegradowane szaty. Zobaczysz moje cywilne ubranie. Pierwsza klasa. Kosztowało mnie dwie noce spędzone przy kartach. Zobaczysz garnituki jak wymarzone. Aha... wspomniałeś o pracy. Możebyś miał i dla mnie coś odpowiedniego. Wziąłbym chętnie dobre, wybitne stanowisko. (C. d. n.)

M. JOKAJ.

RODZINA BARDY

NOWELA.

5)

— Wtedy tamci będą grać sami.

— Kostki nic nie warte. Może nas dwóch zostać i będziemy grali do północy.

— To będziemy grać w karty.

— Tego nie pozwolę. Bieglejszy może oszukać głupszego.

— Dobrze, napisz więc nasze imię na kartki, włóż do beczki i czyje wyciągniesz imię, ten zabierze dziewczynę.

— Ależ bo nie umiecie czytać, a ja mógłbym wyczytać tego, kogo mnie się podoba.

Wołoch począł skrobać się niespokojnie w czuprynę.

— No to powiedz ty co mądrego, trybunie.

— Powiem. Spróbujmy, kto z nas najodważniejszy, kto będzie najśmielszym, kto dowie dzie, że się nie boi niczego, temu damy dziewczynę, bo ten na to zasłużył.

— Dobrze! — krzyknęli wszyscy razem. — Niech każdy opowie, co zrobił, z tego osądzisz, kto z nas najodważniejszy. Ja zabiłem pierwszego Bardy, w oczach jego braci.

— Ja wywaliłem bramę, kiedy najbardziej rzucał na nas żelaza ten szeroki człowiek.

— A jam go przebił.

— Ja wdrapałem się pierwszy po drabinie.

— A ja więcej jak pół godziny biłem się z tym panem w złotym ubiorze.

I tak to szło dalej. Każdy był najpierwszym, każdy najwaleczniejszym, każdy zabił kilkunastu nieprzyjaciół.

— Sprawowaliście się wszyscy walecznie, ale przy tej sposobności nie można dowodzić zdarzeniami przeszłemi. Dopiero musicie złożyć świadectwo wszyscy razem, przedemną, niezaprzeczenie.

— Ale powiedz, jak? — niecierpliwił się Lupuj, obawiając się, żeby go nie okpił trybun.

— Uważajcie — rzekł Numa — wyciągając z pod łóżka półwiadrową beczułkę. Gdy wśród tego padł wzrok jego na dziewczynę, spostrzegł, że ta, otworzywszy oczy, spojrzała na niego i zamknęła powieki napowrót.

Przebudziła się i słyszała całą rozmowę.

Numa, schylając się po beczkę, szepnął do niej cichym, stłumionym głosem: „nie bój się" i wytoczył beczułkę na środek pokoju.

Rumuni spoglądali ciekawie, co będzie z tego. Wziął siekierę i wybił dno beczułki.

— Tu jest cetnar prochu. Uważajcie. Zapalimy trzaskę sosnową, postawimy ją na środku beczki i obsiędziemy wokoło. Który z nas zostanie najdłużej, ten najodważniejszy bez wątpienia, bo proch jak się zapali, wystarcza do wyrzucenia w powietrze nie tylko tej chaty, ale nawet wsi całej.

Kilku z nich zaczęło szemrać z niezadowoleniem.

— Kto się boi, może odejść — odpowiedział zimno trybun.

— Dobrze, wszystko jedno — przechwalał się Lupuj — ja tu zostanę, ale czy to nie mak w tej beczce. Podobny do maku.

Zamiast odpowiedzi wziął Numa w dwa palce tego maku i rzucił do tlącej fajki Wołocha. Zapalony proch buchnął w twarz niewiernemu, że aż się zatoczył i po chwili stał z osmoloną twarzą, bez brwi, wąsów i brody, przed śmiejącymi się towarzyszami.

Jeszcze więcej rozbestwiło to Wołocha.

— Zostanę tutaj! poczekam! — hałasował, podnosząc wypadłą mu z ust fajkę. I kiedy trybun włożył palącą się trzaskę do beczki, poszedł i zapalił sobie przy niej fajkę.

Na ten żart wyniosło się dwie trzecie Rumunów.

Reszta usadowiła się z wielkim krzykiem i hałasem około beczki, przysięgając na wszystko, że pozostaną, ale im więcej kięli tem bojaźliwiej spoglądali na palącą się trzaskę, której płomień zbliżał się powoli do prochu.

Z początku zaczęli przypatrywać się nawzajem. Bladym wydawał się jeden drugiemu. Niejeden wyniósł się cichaczem, a potem znikła reszta, nie życząc nawet gospodarzowi spokojnej nocy. Słychać było niekiedy zgrzyt zębów odchodzących, w końcu pozostało dwóch tylko koło beczki. Numa z założonemi rękami stał oparty o krawędź łóżka i przypatrywał się spokojnie gorejącej trzasce i Lupuj, tyłem obrócony do niebezpiecznej beczki, siedział obok niej i cmokał niecierpliwie lulkę.

Kiedy zostali sami, obrócił się Wołoch i spostrzegł, że ogień na jeden cal jest oddalony od prochu.

— Trybunie, coś ci powiem — rzekł, odskakując od beczki. — Zostało nas dwóch, nie żartujmy ze sobą, pogódźmy się. Podzielmy się tą dziewczyną.

— Jeśli ci się sprzykrzyło czekanie, mogę posunąć trzaskę niżej.

— Nie waryjuj Numa, przecież nie oszalałeś. Dla głupiej dziewczyny nie zechcesz zapędzić nas obydwóch do piekła. Powiem ci coś jeszcze. Na to możesz się zgodzić. Przyrzeknij, że jeśli ci się sprzykrzy ta dziewczyna, mnie ją odstąpisz.

— Zostań tu, wygrasz ją, a wtedy będzie twoją.

— Ale ja nie chcę właśnie tego — rzekł zniecierpliwiony Wołoch prawie z płaczem i jak dziecko targał ubiór i rwał sobie włosy.

— Tak będzie jak powiedziałem — rzekł trybun. — Kto zostanie do końca, ten otrzyma dziewczynę.

— Ta ja zostanę, a czegoż dokażę, wiem, że i ty nie pójdziesz i obydwóch nas porwie dyabeł. Ja nie mówię tego dla siebie, ale mi ciebie żal.

— Jak nie chcesz czekać, to uciekaj.

— Dobrze, ale dasz garść dukatów.

— Ani pół nawet, zostań!

— Trybunie, nie waryjuj! Ogień dochodzi do prochu.

— Widzę.

— Nie dasz ani talara?

— Ani jednego szeląga.

— No, niechże cię jasne pioruny trzasną w dzień świętego Michała! — krzyknął Wołoch i skoczył do drzwi.

Kiedy już był na dworze, zaglądnął jeszcze do izby.

— Nie dasz ani cwancygiera. Nie poszedłem jeszcze.

— Ja także jeszcze nie wyjąłem trzaski, możesz wrócić.

Wołoch trzasnął drzwiami i pędził, ile mu dozwoliły siły, aż znużony w końcu upadł pod drzewem, sukmaną nakrył głowę, pozatykał uszy i tylko od czasu do czasu podnosił się czekając, kiedy z nim poleci świat w powietrze.

Tymczasem pozostały trybun wyjął z zimną krwią dopalającą się trzaskę i rzuciwszy ją do kominka, przystąpił do dziewczyny i szepnął jej do ucha.

— Jesteś uratowaną.

Dziewczyna cała drżąca podniosła się z posłania, chwyciła dużą, silną rękę trybuna i rzekła ze łkaniem.

— Bądź miłosierny. Zrób dobry uczynek. Zabij mię!

Trybun pogłaskał jasne jej kędziory i odpowiedział łagodnie:

— Nie bój się biedne dziecię, nikt cię tu nie obrazi.

— Całuję ręce twoje, żeś mię uwolnił od tych straszydeł, ale uwolnij mię teraz od siebie samego! Zabij mię.

— Mnie nie masz się czego obawiać — odparł dumnie Rumun. — Ja walczę za wolność a kobiety nie uważam za niewolnice. W mojej chatce jesteś tak bezpieczną, jakbyś siedziała u stóp ołtarza. Nie masz się czego obawiać nawet wtedy, kiedy mnie niema w domu; ta chatka jest świętą, a kto cię jednem tylko obrazi słowem, pożegna się ze światem. Kiedy i ja będę w domu, nie bój się: obrazu kobiety nie byłoby jeszcze w mojem sercu. Połóż się na łóżku, przyjemnie ci będzie odpoczywać tam, gdzie przeszłej nocy spał Emeryk Bardy.

— Emeryk? — zapytała zdziwiona dziewczyna. — To go widziałeś? — Gdzie on jest? Czy żyje jeszcze?

Trybun namyślał się i nie mógł znaleźć stosownej odpowiedzi.

— On nie powinien był tak się spóźnić — odrzekł zamyślony. — Inaczej byłoby się stało wszystko. Nie powinno to było mieć takiego końca.

— Pozwól niech pójdę do niego, jeźli wiesz, gdzie on jest.

— Tego nie wiem, ale jestem pewny, że żyje i tu przyjdzie, tu musi przyjść.

— Dlaczegóż tak myślisz?

— Bo będzie szukał ciebie.

— Wspominał ci może?

— Kiedy wpół umarły leżał we śnie pogrążony, szepnął imię twoje, ty jesteś tą Jolanką Bardy, tym „aniołem okolicy". Poznałem cię po jasnych włosach.

Dziewczyna spuściła w dół oczy i zawstydzona szeptała:

— Więc myślisz, że on przyjdzie?

— Jak najprędzej. Teraz wypocznij. Nie pytaj za krewnymi, oni są już w dobrem miejscu, już oni nie potrzebują — niczego.

Trybun przyniósł jeść i pić dziewczynie, położył obok książkę do modlenia i oddalił się od podwójnie osieroconej.

Ta zjadła kilka kęsów, potem otworzyła książkę do modlenia i wśród rzęsistych łez modliła się, aż w końcu dobroczynny sen spoczął na jej powiekach. Po tylu strasznych zdarzeniach zasnęła snem niewinnych.

Za pół godziny nadszedł trybun. Spostrzegł ją śpiącą. Przystąpił po cichu na palcach do wezgłowia i patrzył się długo, długo w tę niewinną śpiącą twarz i niepostrzeżenie stanęły mu dwie łzy w oczach.

Otarł z oczu tych gości i jakby się zląkł tego nieznajomego i cisnącego się do jego serca uczucia, wybiegł z izdebki, w sieniach rozwinął gruby koc na ziemi, położył się i marząc do północy, patrzał na miryady gwiazd niebieskich, a sen nie przychodził na jego powieki.

* *

Opuszczony pałac dogorywał tymczasem oświetlając strasznie całą okolicę.

Wokoło panowała cisza, przerywana czasami jękiem konającego lub ochrypłą piosnką przebudzającego się ze snu pijanego.

Od strony Klausenburga pędzi jakiś oddział jeźdźców drogą ku pałacowi wiodącą.

To Emeryk i jego towarzysze. W milczeniu zachmurzeni jadą obok siebie, słońce jest już wysoko na niebie.

— Spóźniliśmy się — rzekł jeździec obok Emeryka, wskazując na ukazującą się łunę. — Tam się pali twoje mieszkanie.

Może nie jeszcze — odparł, wbijając ostrogi głęboko w konia. Towarzysze ledwie mogą z nim dotrzymać kroku.

Na skręcie ukazała się dolina. Ujrzeli pałac jakby jaki zapalony stos, cały w płomieniach.

Jakby śmiertelnie ugodzony dzik krzyknął Emeryk, wyrwał szablę i popędził galopem po spadzistej górze i niebawem pędził po wijącej się w górę drodze; w kwadrans stał przed pałacem.

Przy wywalonej bramie zastał na pół pijanego Wołocha.

— Gdzie jest mój ojciec? gdzie rodzina moja? gdzie moja narzeczona! — krzyknął młodzian tracąc zmysły: zabłysła szabla ponad głową jego, aby spaść na Wołocha.

Ten upadł przed nim na kolana i błagał, żeby mu nic nie robił, że on nie mordował tych panów.

— A więc wymordowaliście ich! — jęknął nieszczęśliwy młodzieniec, upadł na szyję konia i płakał. — Biada mnie, biada.

Tymczasem nadjechali towarzysze jego i chcieli rozsiekać Wołocha.

— Dajcie mu spokój. Wstań i prowadź, gdzie są pochowani. Wymordowali wszystkich, ani jednego nie zostawili przy życiu! Ani jednego! Oh, niech ten dzień będzie przeklętym, który wschodzi po takiej nocy.

Wołoch zaprowadził ich do wysokiego nasypu i ze drżeniem oznajmił, że tu są zamordowani.

Nieszczęśliwy młodzian, ostatni potomek rodziny swojej, spadł z konia, jakby apopleksyą tknięty przy grobie swojej rodziny.

Towarzysze podnieśli i położyli go na murawie, gdzie najmniej było śladu krwi i potem zaczęli kopać dwanaście grobów.

— Zróbcie trzynaście, wykopać i mój grób! — jęknął młodzieniec.

Potem otworzyli wielki grób i odpowadzili Emeryka przemocą. Na widok tego, co tam było, byłby stracił zmysły.

— Wymordowali wszystkich — jęczał. — Ani jeden nie żyje...

Po chwili przyszedł jeden z kolegów do niego i powiedział, że w grobie jest tylko jedenaście osób.

— To jedna musi żyć! — krzyknął Emeryk z rumieńcem nadziei na twarzy. — Kogo brakuje? Mów, czy jest między niemi dziewczyna jasna blondynka?

(Ciąg dalszy nastąpi).

RENE BURES.

Zil=X...

tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

1)).

Iggins and Co

Już dwa lata upłynęły, odkąd senator Poivrier były ambasador przy jednem z mocarstw zagranicznych, oficer Legii honorowej, został zamordowany w willi swojej Rainey. Mogę więc teraz bez żadnych zastrzeżeń wypowiedzieć całą prawdę tyczącą się tej szczególnej zbrodni, jak również podać do wiadomości ogólnej przebieg nieprawdopodobnych dramatów, wywołanych tą sprawą.

A zdaje się, że ja jeden obecnie jestem w posiadaniu tej prawdy, ponieważ przyjaciel mój Paweł Dalton nie zjawił się w dniu oznaczonym i dotąd żadnych wiadomości nie otrzymałem od niego.

Chcę jednak zaznaczyć, że nie jestem literatem z zawodu. Jestem tylko świadkiem, opowiadającym z dnia na dzień to, co widział. W ciągu tych dwóch wspaniałych miesięcy, które przeżyłem po wykryciu zbrodni, nie minął dzień jeden, aby nie przyniešć ze sobą nowej jakiejś tajemnicy. Fakt ten, o ile się nie mylę, odróżni to prawdziwe sprawozdanie od podobnych innych fantastycznych opowiadań, opartych jedynie na wyobraźni autorów.

W tej sprawie, która wywołała ciekawość świata całego i która jeszcze dotąd zapomnianą nie została, w tej sprawie, gdzie szlachetność najjaskrawsza połączoną została z najdziwaczniejszą zuchwałością, publiczność sama prowadzić będzie codzienne śledztwo... tak, jak ja niegdyś prowadziłem je z nieodżałowanym Pawłem Daltonem.

Paweł Dalton.

Już dawno bardzo nie spotkałem się z Pawłem Daltonem, kiedy pewnego dnia przypadek połączył nas na bulwarze włoskim. Był to pogodny dzień lipcowy, nigdy nie zapomniany dla mnie. Od lat kilku podróżowałem bez przerwy. Nagła śmierć rodziców i strata ukochanego brata wtrąciła mnie była w taką rozpacz, że monotonne życie moje we Francyi, stało się dla mnie nie do zniesienia. Byłem bogaty, przedsięwziąłem więc daleką podróż naukową.

Przebiegłem całą Afrykę, byłem w Chinach. W Transvaalu narażałem swoje życie, przez nudę więcej, niż z przekonania stanąłem po stronie Boerów. W końcu powróciłem do Paryża, znudzony, obojętny na wszystko, tak samo prawie jak w dniu mojego wyjazdu. Znalazłem się w Paryżu sam, bez rodziny i przyjaciół. Jedni zapomnieli o mnie, drudzy umarli.

Szedłem więc bulwarem zadając sobie pytanie, gdzieby pójść na obiad? Pytanie to codziennie dla człowieka samotnego pełne jest niesmaku i wstrętu. Nagle ujrzałem przed sobą człowieka. Człowiek ten był szczupły, mały, wygolony starannie. Na głowie miał dziwacznych kształtów kapelusz o maleńkiem rondzie.

Stanął przedemną i rękę wyciągnął do mnie.

— Vallorbe! Mój stary Vallorbe! — zawołał z prawdziwą radością w głosie.

Uścisnąłem machinalnie jego rękę i spojrzałem na niego podejrzliwie i niechętnie.

— No! — dodał żywo. — Widzę, że jestem zmuszony przedstawić ci się. Mój kochany, przedstawiam ci więc twojego dawnego przyjaciela Pawła Daltona.

Paweł Dalton! Był to jeden z moich kolegów z Saint-Cyr, którego kochałem najwięcej. Po trzech miesięcznej służbie wojskowej podał się pewnego dnia do dymisyi, a potem wiódł najfantystyczniejsze życie. Od kilku lat życie jego było szeregiem szaleństw, awantur i zuchwalstw czynionych z całą powagą, z świadomością i zimną krwią. Niewiem, czy znajduje się na świecie drugi człowiek, rozmiłowany do tego stopnia w drażliwych, niebezpiecznych sytuacyach i niebezpieczeństwach jak on. I niewiem, czy jest również drugi, któryby z tych karkołomnych przedsięwzięć wychodził zawsze tak czysto i cało jak Dalton.

Musiałem przyznać, że nie zestarzał się wcale. Zachował jak dawniej, jasną, pogodną twarz, w której błyszczały żywe, chciwe przygód i życia oczy. Choć był małego wzrostu dawał wrażenie siły i niezwykłej energii.

Patrzałem na niego z przyjemnością. Szczupły, wytworny, staranny w ubraniu leżącem doskonale na jego szerokich ramionach, przyjaciel mój przedstawiał się bardzo korzystnie i gotów był stawiać czoło światu całemu.

— Nie poznałem cię od razu, boś zgolił swoje wspaniałe, bohaterskie wąsy — odpowiedziałem serdecznie.

— Nie uczyniłem tego, aby iść za modą — uśmiechnął się ironicznie. Wąsy zgoliłem dla tego, że lepiej nie mieć ich wcale, kiedy się chce przyprawiać fałszywe.

Patrzałem na niego zdumiony, nierozumiejąc,

— Jestem detektywem, mój kochany — rzucił nagle, z brutalnością prawie.

— Detektywem?

Mój przyjaciel, Paweł Dalton, detektywem! Wstrząsnąłem się mimowoli. Miałem, tak jak wielu ludzi wrodzony, niewytłómaczony wstręt do policyi. Dalton tymczasem wpatrywał się we mnie rozbawionemi, śmiejącemi się oczami.

— Oto co jest nazywać rzeczy po imieniu — wymówił w końcu. — Gdybym ci powiedział, że jestem dyrektorem Towarzystwa Iggins and Co. inaczej byś to przyjął. Spytałbyś się tylko: „Iggins"? co to takiego? I nawet nie czekałbyś mojej odpowiedzi.

— Tymczasem jednak pytam się: „Iggins"? co to takiego i dobrze nadstawiam uszy, aby usłyszeć twoją odpowiedź.

— Ja ci więc odpowiem: Iggins, to człowiek nadzwyczajny, umysł niecodzienny, cudowny. To Iggins i już. Gdzie on się rodził? Niewiem. Prawdopodobnie jest Amerykaninem, albo Anglikiem.

— Jakto? Nie wiesz nawet do jakiej narodowości należy twój wspólnik? Bo to jest twój wspólnik, prawda?

— Tak. Jest on moim wspólnikiem. Albo właściwie jest przeciwnie. On jest Iggins, ja zaś „and Co". — Jego narodowość zaś wcale mnie nie obchodzi. On mi dwa razy uratował życie i to w najgorszych okolicznościach. Iggins jest najuczciwszym człowiekiem pod słońcem. Jestem jego pewnym jak siebie samego i to mi wystarcza.

— Tak, to mi wystarcza — ciągnął dalej z lekką irytacyą w głosie. — Ludzie niewdzięczni, nie zasługują nawet na pogardę. Poznałem Igginsa w Ameryce, odnalazłem go trzy lata temu w Paryżu. Organizował wówczas szerokie przedsiębiorstwo. Agencyę policyi prywatnej. Oh! nie myśl ani na chwilę, że to było coś podejrzanego i niepewnego. — Nie! Nie! To wielka, wspaniała afera amerykańska. Poprosił mnie, ażebym należał do tego,. Przyjąłem bez badania tę propozycyę i dałem nie żądając kwitu ostatnie pieniądze jakie miałem. Oto wszystko!

— I nie żałujesz niczego?

— Żałować? — roześmiał się zuchwale. — Żałować czego? Wiodę życie o jakiem marzyłem zawsze... Wieczny niepokój... i wieczne niebezpieczeństwo. — Ot! słuchaj, kilka dni temu wstrzymaliśmy ohydny szantaż... młoda dziewczyna i brzydki jakiś jegomość... ho! ho! wspaniały szantaż z rewolwerem w ręce...

— Ah! — szepnąłem — z rewolwerem w ręku...

— Już cię mam, mój kochany — zawołał Dalton! — Widziałem błysk twoich oczu i charakterystyczny ruch nozdrzy... to są oznaki nieomylne... Wzięło cię... należysz do nas...

— Co za szaleństwo!

— Nie. Jesteś majętny i niezależny. — Nudzisz się — prawda? Zabieram cię ze sobą!

— A co powie Iggins? — zapytałem żartując jeszcze.

— Iggins nic nie powie. W naszej spółce każdemu wolno dobrać sobie współpracowników. Wystarczy, jak zostaniesz przeze mnie przedstawiony. — Będziesz sobie do woli obierał interesujące cię sprawy. — No cóż! rzecz postanowiona?!

— Nie.

— Tak. Daj mi swój adres. Przy pierwszej ciekawej sprawie telegrafuję po ciebie.

— Nie przybędę.

— Przybędziesz — rzucił Dalton krótko obrzucając mnie ironicznem spojrzeniem.

Zbrodnia.

W dwa dni później przechodziłem na bulwarze Montmartre przed kamienicą w której mieści się redakcya dziennika „Burzy". Przed redakcyą stał tłum zbity, przyglądając się wielkiemu drabowi w liberyi, który nagle ukazał się w oknie parterowem i który trzymając olbrzymi pendzel w ręku zabierał się do wypisywania na oknie ostatnich wiadomości dnia.

Drab długą chwilę z miną bardzo ważną i pewną siebie czyścił pendzel, następnie umaczał go flegmatycznie w słoiku z farbą i pisać powoli zaczął:

Pan senator Eustachy Poivrier...

Tu przerwał. Zeszedł ze stołka, schwycił ścierkę wylazł z powrotem na okno i starannie ścierać zaczął napisane już słowa.

Szmer podniósł się w tłumie. Wielki drab pozwalał sobie igrać z cierpliwością poczciwych burżujów.

— Słuchaj-no, stary — wrzasnął jakiś ulicznik — zapomniałeś alfabetu?!

Ale drab dalej oczyszczał okno nie zwracając uwagi na otoczenie. W końcu podjął pendzel i pisać zaczął powoli, z namaszczeniem:

Pan senator Eustachy Poivrier...

— Dalej, dalej... wrzeszczał ulicznik.

Zdając się nie słyszeć, fagas upiększał teraz swoje litery, dodawał kropki, zakręty i pisał dalej: został... znaleziony... z gardłem... podciętem...

I znowu przerwał, przechylił uparcie głowę, cofnął się korpusem i wpatrywał się z lubością w swoją pracę i po chwili umieścił na końcu zdania olbrzymią kropkę...

Już teraz tłum nie protestował.

— Zamordowany!.... Poivrier zamordowany....

Wszystkim prawie było znanem imię tej sławnej osobistości, byłego ministra spraw zagranicznych. Kim był morderca? I jakiż mógł być powód zbrodni? Czy był to mord polityczny, czy też jakaś zemsta osobista?! W jednej minucie powstały różnorodne sprzeczne przypuszczenia... Tymczasem drab pisał dalej...

...W swojej willi „Bzów", w Raney...

...Córka jego... pani Beaumont... leżała przy nim nieprzytomna z kulą w czole... Istnieje przypuszczenie... podwójnego samobójstwa.

Podwójne samobójstwo! W tłumie zaszemrało groźnie... Znowu jakaś sprawa, którą zechcą stłumić, bo zmarły był wysoką osobistością znaną w mieście. Łatwo orzec! samobójstwo! Ale dlaczego senator Poivrier miałby się dobrowolnie pozbawiać życia?!!

Uliberowany drab zlazł z okna i znikł nagle jak król po uzyskaniu zwycięstwa. Tłum stał dalej pod oknem oczekując na dalsze wydarzenia.

Przeczucia te nie były mylne. Po upływie piętnastu minut drab ukazał się z powrotem i wlazł z powolną ostrożnością na okno. Wyrachowanym ruchem umaczał pendzel i kreślił dalej:

...Znaleziono młodego służącego bezwładnego w przedpokoju. Stan jego nie jest jednak groźny. Pani Beaumont zaś oddycha jeszcze.

Gorączka opanowała tłum. I byłoby może nie obeszło się bez interwencyi policyi, kiedy nagle drzwi redakcyi otworzyły się z łoskotem i na chodnik wbiegła wyjąca banda gazeciarzy, niosąca stosy dzienników, wrzeszcząca na całe gardło:

— Burza! Kupujcie „Burzę". Dramat w willi Bzów! Nowe szczegóły!

W mgnieniu oka wszystkie egzemplarze rozchwytane zostały. Pochwyciłem również jeden numer i wpadłszy w zagłębienie bramy czytać zacząłem. Kiedy odwróciłem jednak pierwszą stronicę ujrzałem, że wszystkie szpalty zajęte były następującą reklamą:

> IGGINS AND Co
>
> Wyświetli tajemnicę całą!
>
> Iggins widział trupa nieznanego człowieka!!

Dlaczego po przeczytaniu tych kilku słów, wskoczyłem do pierwszej przejeżdżającej dorożki i kazałem się zawieść do domu?

W domu zastałem depeszę:

— „Czy chcesz przybyć? Sprawa Poivrier — Dalton".

Bez namysłu zdecydowałem się przyjąć wezwanie.

Ciąg dalszy nastąpi.

Kronika tygodniowa

I ani się spostrzegliśmy, a tu listopad zbliża się już ku końcowi, następny numer „*Nowości Illustrowanych*" należeć będzie już do grudnia. Trzeba zatem przygotować swoje nogi, kto ma Weronikę, której na imię Katarzyna lub też za połowicę filantropkę, chcącą swemi dolnemi odnóżami przyczynić się do urządzenia „Gwiazdki" dla dzieci górnośląskich. *Dancing Tea* weszła dziś u nas w modę, urządza się ją tak w domach prywatnych w dni familijnych uroczystości, jak i na dochód różnych filantropijnych przedsiębiorstw, wychodząc z założenia, że pożyteczne powinno się łączyć z przyjemnem. Od czegóż zresztą dał Pan Bóg człowiekowi nogi?... Niechaj i one swą pracą przyczyniają się do ogólnego dobra, zwłaszcza że równie dobrze można ocierać łzy nieszczęśliwym rękami, jak i nogami.

Na odnóża górne i dolne zwraca młoda Polska wielką uwagę i otacza je pieczołowitością. Ośmiogodzinny dzień pracy ma na celu, by się ręce zbyt nie zmęczyły, od tego chronią nogi urzędowe samochody, którymi rozbijali się dotąd różni mniejsi i więksi dygnitarze, tak cywilni, jak i wojskowi. Kres temu położyła dopiero oszczędnościowa gospodarka ministra Michalskiego, który jest zdania, że przechadzka piezo wpływa bardzo dodatnio na zdrowie i apetyt, a zatem i na humor, poza tem chroni od wypadków, na jakie narażeni są tak często automobiliści. Można zatem zupełnie słusznie powiedzieć, że „Minister Michalski postawił Polskę na nogi". Wdzięczni mu są z tego powodu szewcy, gdyż zwiększy to ich klientelę, mniej zaś ci, którzy przyzwyczaili się obwozić w samochodach swe cielska.

Poza „Katarzyną" będziemy mieli także i wigilię św. Andrzeja, z którą połączone jest doroczne „lanie", celem przekonania się, co nas czeka w przyszłości. Należy zatem postarać się o potrzebne w tym celu materyały, zatem o wosk lub ołów, i przystąpić z całem nabożeństwem do tego rodzinnego aktu, w którym biorą udział tak mężczyźni, jak i kobiety. Nie należy także zbytnio brać sobie do serca jeśli komuś ul.je się figa, jest to bowiem bardzo smaczny i zdrowy południowy owoc, którym wszyscy częstują nas stale i bardzo obficie.

„Lanie", urządzane dawniej w przeddzień uroczystości św. Andrzeja, a powtarzane w wieczór wigilijny, dziś spopularyzowało się i odbywa się także i w innych porach, choć w nieco zmienionej formie. Jest to tak zwane „lanie na sucho", przy którem obejdzie się bez wosku i ołowiu, wystarczy dobry kij, albo nawet i sama ręka. Podobne dwa wypadki, gdzie ręka wchodziła w grę mieliśmy w ubiegłym tygodniu w Krakowie i Warszawie, jak gdyby na stwierdzenie słów znanej piosenki: „Dla Polaków ojciec Kraków, a Warszawa matka"...

I tu i tam czynnie zaatakowane były jednostki ze świata dziennikarskiego z tą jednak różnicą, że warszawski „przedmiot lania" w całej pełni sobie na nie zasłużył, krakowski stał się zaś ofiarą, otrzymującą to, o co bynajmniej nie prosił, a co, wedle słów wyjaśnienia z jakiem spotkaliśmy się przy omawianiu tego faktu należało się właściwie komu innemu.

Stało się z nim to, co się dzieje codziennie w kuchni restauracyjnej. Jedna i ta sama potrawa, ale z rozmaitymi sosami, różne nosi nazwiska, wiadomo zaś każdemu, choć nie jest kucharzem z zawodu, że dobry sos poprawia smak, lichy zaś lub niewłaściwie dobrany, psuje smak najlepszej. I właśnie w manipulowaniu z sosami powinno się być bardzo ostrożnym. Krakowska „ofiara" otrzymała potrawę już gotową, w formie komunikatu jednego z komisaryatów policyjnych, dorobiła do niej tylko swój sos, a ten widocznie interesowanemu nie smakował, skoro, nie czekając na wigilię św. Andrzeja, zebrał się zaraz do lania i to, nie badając, kto winę ponosi, lecz kto mu wpadł pierwszy pod rękę.

To krakowskie „lanie" jest godne napiętnowania, świadczy bowiem o wielkiem obniżeniu kultury naszego społeczeństwa, na którą, jak zapowiadano, wojna światowa miała wywrzeć bardzo dodatni wpływ.

O „laniach", jakie poseł Dąbal zbiera w dowodzie uznania na różnych urządzanych przez się wiecach, nie wspominamy. Doszedł on do przekonania, że polskie społeczeństwo jest bardzo niekulturalne, skoro nic sobie nie robi z postanowień prawnych, dotyczących nietykalności osoby poselskiej. Pociechą jest dlań „jednogłośne" współczucie, z jakiem się spotyka w swym klubie, liczącym, prócz niego, jednego jedynego członka.

O licznych „zalaniach", z jakiemi spotkać się m nawet w niedziele i święta, kiedy obowiązują przepisy abstynencyi od wyżejprocentowych rodzajów alkoholu, również mowy być nie może, należą bowiem one do tradycyi, stojącej w ścisłym związku z staropolską gościnnością, z której znani jesteśmy już w całym świecie i dlatego to tak chętnie odwiedzają nas wycieczki chcących w tani sposób ugasić swe pragnienie i złożyć nam przy tej sposobności dowody swej sąsiedzkiej przyjaźni. Po gdańskich dziennikarzach zapowiedziały swe przybycie wycieczki z Senegalu i Kamerunu, tak daleko doszła już bowiem nasza sława, sfery decydujące zmuszone jednak były prosić o odłożenie ich do pełnego lata, a to z powodu katastrofy opałowej. A chyba nie można pozwolić na to, aby u nas zaziębił się gość z głębi Afryki, a nie wiadomo, czy centralne ogrzewanie przy pomocy wyrobów fabryki „Krakus" w Podgórzu, odniosłoby swój skutek. Zimową porą możemy przyjmować jedynie wycieczki Eskimosów, a i taka jest podobno w drodze, wiozące nam w darze wieloryba, który stanowić będzie ozdobę sadzawki na plantach lub... puszczony zostanie na pasek, ze względu na katastrofalny brak tłuszczów w Krakowie.

W związku z temi wizytami stoi otwarcie nowej restauracyi w przywróconym do porządku kosztem miasta gmachu Starego Teatru. Czytaliśmy w jednem z naszych pism codziennych, entuzyastyczny artykuł na ten temat, wyrażający radość, że Kraków zyskuje lokal prawdziwie po europejsku urządzony, co ułatwi nam przyjmowanie obcych gości. Nowe przedsiębiorstwo gastronomiczne, które z okazyi poświęcenia złożyło między innemi pięć tysięcy marek „na śrubkę dla Obserwatoryum astronomicznego", pozostaje pod kierunkiem spółki, złożonej z siedmiu osób. Stare przysłowie powiada wprawdzie, „gdzie kucharek sześć, tam niema co jeść", tu przecież nie ma ono zastosowania, dotyczy bowiem kucharek i żąda wyraźnie, by ich było sześć. Tutaj zaś należą do spółki osobniki rodzaju męskiego, a że jest ich siedmiu, a siódemka była zawsze szczęśliwą liczbą, czemu dali wyraz żydzi, zabierając ją dla siebie, do nowego przedsiębiorstwa przystosować się daje raczej świeżo utworzone przysłowie: „Gdzie siedmiu gospodarzy, tam się dobrze darzy".

Uroczystość poświęcenia nowo otwartego lokalu odbyła się w sposób bardzo podniosły, pozostawiając u uczestników długotrwałe wspomnienie. O nastroju, jaki tam panował świadczy notatka miejskiego historyografa, który w swych zapiskach, przeznaczonych dla pouczenia potomnych o naszych stosunkach, zaznaczył:

„Potrawy, przyrządzenie, podanie, omasta
Wyborne, jednak *struli* się ojcowie miasta...
I chociaż tu ląd stały, widziano osoby,
Okazujące skłonność do morskiej choroby"...

co zresztą można także i tem tłómaczyć, że obecnie przypadłości, wywołane kołysaniem się okrętu na falach morskich są bardzo w modzie, każdy bowiem ma głowę nabitą konferencyą waszyngtońską, która zajmuje się rozbrojeniem jedynie na morzu. Amerykański fabrykant samochodów, Ford, oświadczył gotowość zakupienia floty wojennej całego świata, ale po cenach starego żelaza, z zapewnieniem, że materyału użyje na wyrób samochodów i narzędzi rolniczych, ewentualnie w razie potrzeby odsprzeda z powrotem okręty interesowanym, rozumie się, po wyższych cenach, o ile tymczasem doszli do przekonania, że rozbrojenie ze względu na własne bezpieczeństwo na razie nie ma sensu.

Nawiązując do owego częstego odwiedzania nas przez różnych zagranicznych gości, warto zaznaczyć, że dziwnie bardzo wygląda owa staropolska gościnność, z jaką ich podejmujemy, w zestawieniu z ciągłemi, a coraz boleśniejszemi narzekaniami na biedę, jaka nas gniecie, a folgować ani rusz nie chce, gdyż w żaden sposób nie można znaleźć kopyta, na którem dałoby się „rozbić" ów ciasny but. Obcy goście, podjadłszy sobie i podpiwszy, odnoszą wrażenie, że dzieje się nam bardzo dobrze, gdy tymczasem, jako sami wiemy najlepiej, tak nie jest. Być może, że w myśl przysłowia: „Jak cię widzą, tak cię piszą" mogłoby to wpłynąć na poprawienie naszego kredytu za granicą, bo przecież dziadowi, goniącemu ostatkami, nikt nic nie pożyczy, ale do tego trzeba byłoby odwiedzin osobistości, mających większe w świecie znaczenie, niż owe, które nas nawiedzają. Patrząc na nasze wysiłki w podejmowaniu obcych przybyszów, przypominamy sobie mimowoli owego bankruta, który mając już długów po uszy, zapożycza się jeszcze, aby urządzić wspaniały bankiet, mający ratować jego opinię w oczach ogółu w myśl zasady: „Zastaw się, a postaw się!"...

Postawi się, ale na czas krótki, potem zaś gruchnie na ziemię, aby z niej już nigdy nie powstać.

W dalszym ciągu dowiadujemy się z kalendarza, który w tym kierunku się nie myli, bo to nie przepowiednia meteorologiczna, że na dzień 6 grudnia przypadają imieniny św. Mikołaja, tem się różniącego od niektórych naszych urzędników, że lubi dawać podarunki, a nie brać. Ale tak było w przedwojennych czasach. Wojenna zawierucha zamknęła przed świętym Dobroczyńcą nasze granice, obawiał się zresztą, aby go przypadkiem nie postawiono przed komisyą asenterunkową, i nie wysłano na „pole chwały", skąd bardzo łatwo dostać się do wiecznej szczęśliwości. Obecnie powinien się św. Mikołaj poprawić i wskrzesić dawne tradycye obsypywania nas podarunkami, o ile oczywiście nie stanie znowu na przeszkodzie wysokość cła wwozowego i opłat kolejowych. Dałoby się to wprawdzie ominąć, wybierając drogę powietrzną, ale, po niefortunnej wyprawie ex-króla Karola na Węgry, stracił nawet św. Mikołaj zaufanie do komunikacyi samolotowej. Poza tem musi się mieć na ostrożności, aby Go nie posądzono, że owe „podarunki" przywozi do nas w tym celu, aby je puścić na pasek. W każdym razie rano w dniu 6 grudnia niech każdy sięgnie pod poduszkę, zagląda pod łóżko, rzuci okiem na szafkę nocną, a może znajdzie coś, czego się nie spodziewał, a co uraduje jego serce bardziej, niż wymiar przypadającej nań daniny państwowej. Kronikarz oczekuje niecierpliwie owego dnia, spodziewając się, że ósmy Mikołaj wojenny będzie może dlań życzliwszy, niż poprzednie. Na wszelki wypadek trzeba sobie przygotować worek na podarunki, a gdy nadzieje zawiodą, będzie go można sprzedać, a dziś worki są wysoko notowane, i uzyskać w ten sposób fundusze na pokrycie kosztów zbliżających się do nas wielkim krokiem świąt Bożego Narodzenia.

Oj, to Święta!... Aż się człowiekowi zimno robi na samo ich wspomnienie. Ósmy z rzędu raz przyjdzie nam się łamać w wojennym czasie opłatkiem, o ile oczywiście uda się go komuś zdobyć, bo i o nie dziś trudno. Jeszcze rok temu wstecz pocieszaliśmy się myślą, płacąc za kilogram karpia dwieście czterdzieści marek, że to już po raz ostatni, gdyż „następne Święta będą stanowczo lepsze". I bynajmniej nie pomyliliśmy się, jeśli bowiem zważymy, że przez przeciąg tego roku marka straciła mniej więcej pięciokrotnie na swej wartości, chcąc się w wieczór wigilijny delektować rybką, trzeba będzie za kilogram zapłacić conajmniej tysiąc pięćset marek. Ponadto wiadomo wszystkim z zoologii, nawet jednostkom o domowem wykształceniu, że ryba lubi pływać, ale tylko w stanie żywym we wodzie, gotowana zaś lub smażona w innym płynie, w szczególności zaś w soku winnych jagód. Kto więc dba o stan swojego zdrowia, a, szanując tradycyę, zafunduje sobie rybkę, musi się eo ipso postarać i o jakąś buteleczynę, nie mówiąc już o tem, że potrzebny jest i pewien „wstęp", aby nabrać apetytu. A to wszystko, razem wziąwszy, przekracza stanowczo siły kieszeniowe umysłowo pracującego inteligenta, zwłaszcza, gdy się zważy, że święta Bożego Narodzenia, przypadają jak na złość, przy końcu miesiąca, gdy prawie w całym kraju widzialne jest „zupełne zaćmienie kieszeniowe". Jeśli zaś dodamy do tego, że każda szanująca się Weronika nie przeżyłaby tych świąt bez jednej bodaj straciI, okaże się konieczność nadzwyczajnych kredytów w kwocie około pięćdziesiąt tysięcy marek.

Mądrzej zatem zrobiłaby konferencya waszyngtońska, zajmująca się kwestyą rozbrojenia na morzu, z czego, mówiąc popularnie „będą nici", gdyby raczej wzięła pod uwagę, w jaki sposób dopomódz Bogu ducha winnym śmiertelnikom, z wybuchem wojny nic wspólnego nie mającym, do szczęśliwego spędzenia świąt Bożego Narodzenia i bodaj choćby przyjemnego zakończenia roku, który miał być od poprzednich lepszy, a jednak był gorszy.

Sprawozdania jakie nadchodzą z Waszyngtonu, potwierdzają w zupełności to, co powiedzieliśmy poprzednio o znaczeniu, jakie ta konferencya mieć będzie dla świata. Cesarz amerykański, Harding, otworzył konferencyę mową tronową, którą odczytał, tak jak każdy panujący, poczem ukłonił się pięknie zgromadzonym i odszedł na śniadanie, mówiąc do siebie w duszy:

— Radźcie sobie zdrowo, jeśli wam to robi taką przyjemność, ja, znając wartość czasu, nie myślę go tracić napróżno...

Na amerykański projekt rozbrojeń na morzu, przedstawiony przez Hughesa, zgodziły się bez zastrzeżeń wszystkie państwa do morza dostępu nie mające, inne zaś oświadczyły gotowość wzięcia go pod rozwagę, na co Japończycy zażądali dziesięciu dni, za ich przykładem pójdą niezawodnie Anglicy, potem Włosi i t. d. Obradującym zupełnie się nie spieszy, są widocznie zadowoleni dziennemi dyetami i byliby radzi konferencyę przeciągnąć jak najdłużej, w guście naszych posłów do Sejmu ustawodawczego, nie mających ochoty wyrzec się dochodów z poselstwa płynących, co dotyczy szczególnie tych, którzy nie mają nadziei, aby tam powrócili po nowych wyborach.

poparcie ze strony Ameryki. Jest to zatem pewnego rodzaju przestroga, skierowana pod adresem Anglii, za pośrednictwem Francyi, aby londyńscy politycy nie przeciągali zbytnio struny, która może pęknąć bardzo łatwo.

Przedmiotem szczególniejszych owacyi ze strony tak kół oficyalnych Stanów Zjednoczonych, jak i najszerszych sfer amerykańskiego społeczeństwa był jednak marszałek Foch, właściwy pogromca Niemiec w wojnie światowej. Demokratyczna i pokojowo usposobiona Ameryka, witając go tak entuzyastycznie na swej ziemi i to w przeddzień konferencyi w sprawie rozbrojeń, oddała w ten sposób mimowoli hołd militaryzmowi, na który wszyscy narzekają, a przecież w nim tylko widzą podstawę swej potęgi i bezpieczeństwa. Marszałka Focha wyróżniano w sposób niebywały, wiwatowali na jego cześć żołnierze amerykańscy, witający swego wodza z ostatniej wojny, aklamowała go cywilna publiczność, częściowo może i dlatego, że usunął z przed jej oczu widmo niebezpiecznego konkurenta, zagrażającego poważnie amerykańskiemu przemysłowi.

Tak było, czy owak, wchodził w grę interes czy serce, to mniejsza, faktem jest przecież dowodami stwierdzonym, że między Francyą a Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej panują jak najlepsze stosunki, co powinno być gwarancyą pokoju, pewniejszą, niż wszelkiego rodzaju konferencye. Dziwną, swoją drogą, wydaje się wieść szerzona w ostatnich czasach przez prasę zagraniczną o mającem dojść do skutku zbliżeniu amerykańsko-angielsko-japońskiem, nie jest jednak wykluczonem, że pogłoski te pochodzą z źródeł angielskich, starających się w ten sposób osłabić wobec świata niemiłe wrażenie, jakie na Albion wywarło entuzyastyczne przyjęcie Francuzów za Oceanem i to mające widocznie głębsze, niż się może niejednemu wydaje, podłoże, ugruntowane jeszcze w czasie podróży Vivianiego do Ameryki. Sympatya, łącząca Francyę z Ameryką, wzmocniona wspólnym politycznym interesem, to właśnie owe biblijne gołębice niosące Noemu różdżkę oliwną, zapowiadającą trwały pokój.

I teraz dziwić się nie można dlaczego Lloyd'owi George'owi przeszkodziła w wyjeździe do Ameryki sprawa irlandzka, którą ma zawsze przygotowaną w zanadrzu, ilekroć rozchodzi się o wycofanie z honorem z jakiejś niemiłej sytuacyi. Wiedział dobrze o tem, że Ameryka nie powita go tak serdecznie i owacyjnie, jak Focha, a tamtejsi Irlandczycy gotowi może byliby do owacyjnego powitania angielskiego premiera, lecz w dosłownem tego wyrazu brzmieniu (ovum — po łacinie: jajo). Sam widok statuy Wolności przy wjeździe do portu nowojorskiego uderzyłby go niemile, przypominając porażkę Anglików z przed niespełna półtora wieku, a statua Waszyngtona przed Białym Domem zdawałaby się zwracać doń z zapytaniem:

— A co tam panie prezydencie z Irlandyą, Indyami, Egiptem...?

Aby sobie oszczędzić podobnych przykrych wrażeń, wolał angielski premier pozostać w domu.



Włochy „nieznanemu żołnierzowi": Orszak pogrzebowy na Placu Weneckim w Rzymie obok pomnika Wiktora Emanuela



Włochy „nieznanemu żołnierzowi": Złożenie zwłok w grobowcu honorowym u stóp Kapitolu w Rzymie.

Z żałobnej kroniki.

Tegoroczna żałobna kronika zawiera aż nazbyt wiele nazwisk, które tak w życiu społecznem, jak i na polu nauki i sztuki, wielkie zasługi położyły dla naszego społeczeństwa, zdobywając w ten sposób prawo do wdzięcznej jego pamięci i kilku bodaj wyrazów uznania, dopiero po śmierci, za te ich wysiłki, których nie doceniano, gdy żyli i pracowali między nami.

Do ich rzędu zaliczyć należy skromnego i cichego, ale zasłużonego na polu pracy narodowej i społecznej, śp. Klaudyusza Dębickiego, emerytowanego radcę kolejowego i byłego naczelnika stacyi krakowskiej, członka naszej Rady miejskiej, byłego prezesa „Straży Polskiej" itd., zmarłego w Krakowie w dniu 16 listopada b. r. w 76 roku zasłużonego żywota.

Śp. Klaudyusz Dębicki pracował sumiennie i gorliwie przez całe lat dziesiątki tak w swym ciężkim i odpowiedzialnym zawodzie, jak i na niwie społecznej, nie szukając rozgłosu, spełniając tylko swój obywatelski obowiązek, nakazujący każdemu przyczynić się wedle możności do położenia podwalin pod budowę przyszłości lepszą od tych warunków, w jakich im przyszło nad nią pracować. Że praca jego była skuteczną, tego dowodem uznanie, z jakiem się na każdym kroku spotykał, a które powołało go w skład naszej reprezentacyi gminnej, do prezydyum „Straży Polskiej" i na inne stanowiska społeczne, powierzane przez społeczeństwo tym, którzy potrafili sobie zjednać jego zaufanie. Zaufania



Uroczystości w Montpellier: Uczestnicy siedmsetletniej rocznicy istnienia fakultetu medycznego na dziedzińcu wewnętrznym starożytnego opactwa

tego nie zawiódł, prawie do ostatnich chwil życia czynny był i ruchliwy, dopiero podeszły wiek zniewolił go do cofnięcia się w zacisze domowego ogniska, gdzie i nadal interesował się wszelkimi przejawami życia narodowego.

Był to charakter czysty i nieskazitelny, serce



Uroczystości w Montpellier: Odsłonięcie pomnika pisarza francuskiego Rabelais'a.

gorące, jednostka o niezłomnej sile woli, patryota nie słowa, ale czynu. Jedną z jego zasług — to budzenie ducha narodowego w szeregach kolejarzy, którzy od czasu objęcia przezeń stanowiska naczelnika krakowskiej stacyi oficyalnie manifestowali swą polskość z okazyi różnych obchodów patryotycznych. Cenili też w nim zarówno swego przełożonego, mającego na celu ich dobro, jak i przodownika duchowego, wskazującego im właściwe drogi.

Zgon śp. Klaudyusza Dębickiego wywołał też ogólny żal w najszerszych sferach naszego miasta, tracącego w Zmarłym jednego z najzasłużeńszych swych obywateli, człowieka, którego jedynym celem życia była praca dla ogółu, a nie własny interes.

Włochy „nieznanemu żołnierzowi".

Po Anglii, Francyi i Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, przyszła kolej na Włochy w uczczeniu pamięci zasług „nieznanego żołnierza". Symboliczny ten akt, mający na celu złożenie hołdu tysiącom bezimiennych bohaterów, którzy życie swe położyli w obronie ojczyzny, staje się w każdym kraju rodzajem żałobnego święta narodowego, obchodzonego zarówno przez sfery wojskowe jak i cywilne. Te, prawie monarsze honory, jakie oddaje się szczątkom „nieznanego żołnierza", to wyraz wdzięczności całego narodu dla tych wszystkich, którzy stanęli w potrzebie, by bronić zagrożonej wolności i na polu chwały znaleźli śmierć bohaterską. Jednym z nich oddały ostatnią posługę rodziny, innym koledzy i towarzysze broni, tymi trzecimi zaś, „nieznanymi", zajęło się całe społeczeństwo, czcząc ich pamięć w osobie jednostki, mającej reprezentować cały, tak liczny ogół bezimiennych bohaterów.

Grób „nieznanego żołnierza" stanie się z czasem celem pielgrzymek z całego kraju wszystkich tych, którzy utracili kogoś w ciągu obecnej wojny, a ostatnie chwile jego i miejsce, gdzie złożono na wieczny spoczynek jego śmiertelne szczątki, są im nieznane. Do grobu „nieznanego żołnierza", sprowadzi ich myśl, że może to on, jeśli zaś osoba obca, pociechą dla serca stanie się nadzieja, że w ten sam sposób, gdzieś tam daleko od nich, inni czczą pamięć ich bliskiego.

Uroczyste złożenie hołdu pamięci „nieznanego żołnierza" przez całe włoskie społeczeństwo odbyło się w dniach 2 i 3 listopada w Rzymie, gdzie wyznaczone w tym celu zwłoki złożono pod „Ołtarzem Ojczyzny" u stóp Kapitolu. W smutnym tym obchodzie wziął udział dwór królewski, sfery wojskowe, przedstawiciele władz cywilnych i tysiączne rzesze ludności. Trumnę ze zwłokami nieznanego bohatera, złożoną dotąd na cmentarzu Akwilei, przewieziono do Rzymu, gdzie na dworcu kolejowym oczekiwał jej przybycia dwór królewski i najwyżsi dostojnicy. Po wyjęciu trumny z wozu kolejowego, umieszczono ją na lawecie armatniej i w uroczystym pochodzie, wśród szpalerów wojsk i tysięcy ludności cywilnej ruszono do kościoła Matki Boskiej Anielskiej, dokąd przybyła także królowa wraz z księżniczkami krwi, wszystkie w grubej żałobie, celem oddania ostatniej posługi nieznanemu żołnierzowi.

Nazajutrz, w dniu 3 listopada, po nabożeństwie żałobnem, odprawionem przez monsignora Bartholomasi, ruszył kondukt pogrzebowy na miejsce wiecznego spoczynku, do „Ołtarza Ojczyzny". Za trumną, wiezioną i tym razem na lawecie, a okrytą sztandarem o barwach narodowych, postępowali obydwoje królestwo z rodziną, dworem, dygnitarzami wojskowymi i cywilnymi, ciałem dyplomatycznym i t. d. Ulice i place zalegało morze głów ludzkich, zwłaszcza zaś Plac Wenecki wypełniony był po brzegi. W poważnem milczeniu towarzyszono posuwającemu się powoli orszakowi pogrzebowemu.

Rodzina królewska towarzyszyła zwłokom aż do pomnika Wiktora Emanuela. Tutaj zdjęto trumnę z lawety, królowa wraz z księżniczkami uklękły, król z książętami salutowali. Na trumnie bohatera złożył król złoty medal, przyznany „nieznanemu żołnierzowi" jako symbol bohaterstwa całej armii. Uderzono w bębny, chorągwie pochyliły się, a trumnę z zwłokami nieznanego bohatera złożono na wieczny spoczynek w honorowym grobowcu, na którym umieszczono płytę z napisem: „*Ignoto Militi 1915—1918*".



Francuski „Sinobrody" przed sądem: Sala paryskiego Sądu przysięgłych podczas rozprawy mordercy kobiet Landru.



Pogrzeb króla Ludwika bawarskiego: 1) Jedna z grup biorących udział w pogrzebie w swych malowniczych średniowiecznych strojach. 2) Duchowieństwo w orszaku pogrzebowym.

Uroczystości w Montpellier.

W pierwszej połowie listopada obchodziła nauka francuska uroczyste święto: siedmsetletnią rocznicę założenia wydziału lekarskiego w Montpellier. Na uroczystość oprócz gości z całego kraju i zagranicy, przybył także prezydent Republiki francuskiej, Millerand, w towarzystwie ministrów spraw wewnętrznych, oświaty, zdrowia i rolnictwa. Trzy dni z rzędu trwał obchód, a każdy z dni miał zupełnie odrębny charakter. Pierwszy poświęcony był wyłącznie uniwersytetowi, drugi uczczeniu pisarza Rabelais'a i odsłonięciu jego pomnika, trzeci wreszcie szkole rolniczej, zwanej popularnie *„Université du vin"*, Montpellier leży bowiem w okolicy, słynącej z intenzywnej hodowli i uprawy winnej latorośli.

Uniwersytet w Montpellier, najstarsza z francuskich szkół lekarskich, która przez szereg wieków wykształciła tylu znakomitych lekarzy, tak krajowych, jak i zagranicznych, mieści się w starożytnym budynku byłego opactwa, przerobionego w ośmnastym wieku na pałac biskupi. Fasada tego monumentalnego gmachu nosi na sobie ślady dawno minionych wieków, harmonizując dziwnie z długiem



Miejski Teatr: Opera i Operetka: Znana rosyjska śpiewaczka, Elżbieta Jefimcewa, jako Małgorzata w „Fauście".

istnieniem zakładu naukowego, który w nim znalazł pomieszczenie.

Uroczystości jubileuszowe miały bardzo podniosły przebieg. Uderzono we wszystkie dzwony miasta w chwili, gdy prezydent Millerand w otoczeniu grona profesorów, młodzieży i gości udawał się na właściwy akt jubileuszowy, podczas którego wygłoszono liczne mowy, zastosowane do tego wielkiego dla francuskiej nauki święta. Przemawiali między innymi w imieniu fakultetu medycznego paryskiego prof. Widal, w imieniu fakultetów zagranicznych prof. Bordet z Brukseli, dziekan wydziału medycznego w Montpellier Derrien i dwaj profesorowie Vires i Forgnes. Rektor akademii Leon Bérard, mówił o roli uniwersytetów, o współpracy przemysłu z nauką i o dobrodziejstwie kultury, która dotąd zachowała charakter wszechstronności i humanizmu. Na zakończenie odbył się w wspaniałej galeryi anatomicznej bankiet, podczas którego wygłosił prezydent Millerand uroczystą mowę, zastosowaną do okoliczności, nie pozbawioną jednak głębokich a trafnie obmyślanych i zręcznie ujętych aluzyi politycznych na temat obecnych stosunków.

Pogrzeb króla Ludwika bawarskiego.

W ubiegłym miesiącu zmarł, jak doniosły pisma codzienne, w majątku swym na Węgrzech, były król bawarski, Ludwik, ostatnio wygnaniec po przewrocie wywołanym światową wojną, która tyle koron strąciła w pył uliczny, a istniejącymi dotychczas jeszcze tronami poważnie zachwiała.

Inicyatorzy wojny światowej, którzy w pierwszym rzędzie padli jej ofiarą, ani przypuszczali nawet, że wywołują burzę, która zwróci się przeciw nim samym i że przyczyniają się samochcąc do zdemokratyzowania świata, co bynajmniej nie leżało w ich programie. Dziś gorzko wspominają niefortunne swe projekty, zagarnięcia panowania nad światem, pozbawieni nie tylko tronów, ale i ojczyzny, zmuszeni do tułaczki między obcymi.

Jedną z takich ofiar, w tym wypadku jednak za winy nie popełnione, gdyż sam do wybuchu wojny osobiście się nie przyczynił, a zmuszony był do wzięcia w niej udziału koniecznością, był ś. p. król bawarski, Ludwik, który ostatnie lata swego życia spędzić musiał na wygnaniu, a do stolicy powróciły jedynie jego martwe szczątki, by spocząć wiecznym snem obok swych szczęśliwych poprzedników.

Po przewiezieniu zwłok króla Ludwika i jego małżonki, Maryi Teresy, z Wildenbach do Monachium, dnia 5 bm. odbył się uroczysty ich pogrzeb w stolicy Bawaryi.

Ulice pomiędzy kościołami św. Ludwika i Najświętszej Maryi Panny były zamknięte dla publiczności. Z gmachów państwowych i wielu domów prywatnych zwieszały się chorągwie czarne. Młodzież uwolniono dnia tego od zajęć szkolnych, a wiele sklepów w śródmieściu było zamkniętych.

Francuski „Sinobrody" przed sądem

W Paryżu toczy się od 7 listopada przed sądem przysięgłych rozprawa przeciw osławionemu mordercy kobiet, Landru, któremu akt oskarżenia, obejmujący dziesięć tysięcy stronic maszynowego pisma, zarzuca spełnienie jedenastu skrytobójczych morderstw na kobietach, wobec których występował w roli starającego się o ich rękę. Wynik całorocznego przeszło śledztwa nie zdołał zebrać żadnych prawie konkretnych dowodów, Landru przeczy wszystkiemu, zachowując się wobec sądu w sposób cyniczny i bezczelny.

Mimo, iż ta sprawa była przez cały rok w prasie paryskiej i w dziennikach całego świata aż do obrzydliwości wałkowana, Paryż zajmuje się nią obecnie znów bardzo żywo. „Bohater" procesu jest to nieprzyjemny, łysy mężczyzna, ze zblazowaną twarzą, ujętą w ramy czarnego dużego zarostu.

Potworny ten zbrodniarz nawiązywał stosunki coraz to z inną kobietą, zazwyczaj brzydką i niemłodą, ujmując je sobie swym dowcipem, elegancyą, ułożeniem i obiecankami małżeństwa. Po pewnym czasie udawał się z coraz to nową narzeczoną do swojej, a właściwie wynajętej willi, którą posiadał na prowincyi, skąd ofiary jego zazwyczaj już nie wracały. Nadchodziły od nich tylko do rodziny i krewnych „listy z za grobu", o które Landru za życia swych ofiar się wystarał i które następnie dla zatarcia zbrodni przez dłuższy okres czas rozsyłał. O ile sądowi uda się udowodnić mu popełnione zbrodnie, które polegały na mordowaniu i paleniu zwłok ofiar, to sprawiedliwość paryska odniesie ogromny tryumf.



Miejski Teatr: Opera i Operetka Konstanty Kniaginin w roli Rigo'etta, którą zdobył sobie zupełne uznanie krytyki i publiczności.

Z TEATRU.

Miejski Teatr: Opera i Operetka.

Okazuje się coraz wyraźniej, iż nie mieli racyi ci, którzy bardzo sceptycznie zapatrywali się na utworzenie w Krakowie stałej opery. Dotychczasowe doświadczenie stwierdza, że muzykalny Kraków nie szczędziłby jej poparcia. To, co mamy obecnie z łaski i woli Towarzystwa Operowego, jest wpra-



Francuski „Sinobrody" przed sądem: Oskarżony o skrytobójcze morderstwo dziesięciu kobiet i jednego mężczyzny, Landru.

wdzie miniaturą w porównaniu z tem co Kraków mógłby posiadać, stanowi jednak dobry początek, po którym nastąpi niezawodnie jeszcze lepszy dalszy ciąg. Kierownictwo tej naszej sceny dokłada wszelkich starań, aby zadowolić najwybredniejsze wymagania miłośników sztuki, a jeśli nie może poświęcić się wyłącznie wyższej muzyce i dawać same opery, to nie jego wina. Pozbawione jakichkolwiek subwencyi, ratować musi kasę i operetkami, wymagającemi mniej kosztów wystawienia, a przynoszącemi więcej dochodu.

I dobór sił artystycznych, tak solistów, jak zespołów choralnych i orkiestry nie pozostawia nic do życzenia. Z solistów, przewinął się przed naszemi oczyma cały szereg pierwszorzędnych sił wokalnych, tak naszych, a Bogu dzięki ich nie brak, jak i występujących gościnnie.

Do tej długiej grupy zaliczyć należy nadzwyczaj sympatyczną parę śpiewaków rosyjskich, których wypadki polityczne zmusiły do opuszczenia ojczyzny i tułaczki po świecie, a naprawdę szczęśliwe wiatry zagnały do Krakowa. Już w pierwszych swych występach Elżbieta Jefimcewa i Konstanty Kniaginin zdobyli sobie w „Rigolecie" najzupełniejszy sukces, a to samo powtórzyło się i w innych operach np.: „Fauście", Traviacie" i t. d. Są to artyści dużej miary, p. Jefimcewa jest śpiewaczką, która okazuje się doskonałością w zakresie czystej techniki wokalnej, a równocześnie posiada w brzmieniu swego głosu ogromny zasób miękiego, powabnego dźwięku, p. Kniaginin przedstawia typ doświadczonego śpiewaka o głosie górującym nie tyle metaliczną siłą ile podatnością do efektownego uwydatnienia dramatycznych akcentów, a wzrusza silnie jako aktor grą o bardzo subtelnie odczutych i pięknie uzewnętrznionych szczegółach.

Zamieszczone w numerze niniejszym podobizny sympatycznych śpiewaków, Jefimcewy w roli Małgorzaty z „Fausta" i Kniaginina jako Rigoletta, wykonane zostały po mistrzowsku przez zakład artystyczny fotografii p. J. Kuczyńskiego w Krakowie.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę PT. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył W. Z., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda imię i nazwisko jednego z naszych ministrów.

```
      ■
    – ■ –
  – – ■ – –
    – ■ –
      ■
    – ■ –
  – – ■ – –
– – – ■ – – –
  – – ■ – –
    – ■ –
      ■
    – ■ –
  – – ■ – –
– – – ■ – – –
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Rzeka w Europie, 3. Tytuł szlachecki, 4. Imię żeńskie, 5. Samogłoska, 6. Miejsce kąpielowe w Niemczech, 7. Rodzaj gleby, 8. Część dnia, 9 Postać z biblii, 10. Tytuł władcy, 11. Spółgłoska, 12. Owad, 13. Miejscowość na Węgrzech, 14 Słabość.

Zgłoskówka.

Ułożył J. Marecki, Lwów.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną zgłoskę. Podadzą one okeliczność, stojąca w związku ze stosunkami z naszymi sąsiadami:

Rodem kurki czubate.
Kto chce kochać, cierpieć musi.
Co głowa, to rozum.
Pragnie, jak kania deszczu.
Z kim kto przestaje, takim się staje.
Czekaj tatka latka, aż kobyłę wilki zjedzą.
Do świętego Ducha nie zdejmuj kożucha.
Miłe złego początki.

Grzebieniówka.

Ułożył S. Jasiński, Radom.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby w pionowych szeregach powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy poda cnotę, której nam stale brak, a którą nam wszyscy zalecają.

```
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
–   –   –   –   –   –
–   –   –   –   –   –
–   –   –   –   –   –
```

Znaczenie wyrazów: 1. Gatunek psa, 2. Litera grecka, 3. Pora roku, 4. Inaczej więzy, kajdany, 5. Szlachetny kamień, 6. Popularna dawniej gra w karty.

Trójkąt magiczny.

Ułożyła M. K., z Krakowa.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwę jednej z pór roku.

```
■ ■ ■ ■ ■ ■
■ – – – –
■ – – –
■ – –
■ –
■
```

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz, 2. Obchód ludowy w Krakowie, 3. Postać z Biblii, 4. Dopływ Dunaju, 5. Francuski ród książęcy, 6 Spółgłoska.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) A. Bałuckiego „Błyszczące nędze“ (powieść); 2) Kalendarz biurkowy na rok 1922.

Rozwiązanie zagadek z Nru 42

Trójkąt magiczny. **Ukraina**, Kraków, rynek, Azya, Inn, Ner, a.

Zadanie do uzupełnienia: Pora, niwa, kora, wsyp, kino.

Logogryf: Z, San, Roman, brama, Moony, pchła, mufti, Kreta, Sedan, krata, oko, a.

Grzebieniówka: Piotr, a, żgacz, d, złoto, i, Egipt, r, Nisko, i, Koran.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: R. Mąka Kraków, J. Wierzbicki Piotrków, M. Michalczyk Poznań, S. Kowalski Warszawa, W. Rozwadowski Kraków, H. Walewska Jasło, W. Zubicka Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Planecka Kraków, H. Malinowski Warszawa, J. Walczewska Lwów, M. Kubicówna Kraków, S. Zakrzewski Sandomierz, H. Boratyńska Poznań, W. Nowotarska Kraków, S. Grabowski Wadowice, S. Sokołowski Lwów, J. Sadowski Kraków, T. Cisowski Zakopane, M. Grajower, Rzeszów, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, J. Orzechowski Stryj, K. Dębicki Sambor, S. Marzec Krasne, M. Drohocki Warszawa, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, S Sygowska Rzeszów, P. Batowski Tarnów, B. Szypulska Wieliczka, A. Wróbel Tarnopol. K. Wilczyński Stanisławów, K. Mańkowska Warszawa, Z. Trembecki Kalisz, O. Niedziałkowska Kraków, H. Blonder Podgórze, K. Strzałkowski Przemyśl, L. Sękowicz Warszawa, W. Kemperdowa Lwów.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) W. Nowotarska, Kraków powieść); 2) L. Sękowicz, Warszawa (kalendarzyk). Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody w kwocie 15 marek.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego.